MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 5. WARSZAWA, 3 LUTEGO 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZATRUTE ŹRÓDŁA

PRZECIWNICY ruchu narodowego, zwalczając go na każdym kroku i nie szczędząc mu dotkliwych przycinków, starają się, jak mogą, ośmieszyć to proste i wzniosłe hasło: — „Bóg i Ojczyzna!"—Termin: „ideologja bogoojczyźniana", „frazes bogoojczyźniany" jest strasznie modny u „sanacji" i masonów. I orjentują się oni dobrze, dlaczego to robią — bo to hasło, wyrażające łączność i współpracę najlepszych pierwiastków w człowieku, jest największą siłą każdego nacjonalizmu i nieśmiertelnym talizmanem jego zwycięstwa; — warto je więc ośmieszyć i obedrzeć z nimbu.

Ale to wszystko, to drobiazg, bo o wiele groźniejszą jest praca, by tę solidarność ideałów równoczesnej służby Bogu i Ojczyźnie rozbić i rozdzielić, — tu kryje się istotne niebezpieczeństwo, którego lekceważyć nie można, zważywszy na takie przykłady, jak interdykt, rzucony na *„Action Française"*, czy też na bezustanne, mimo konkordatu, zatargi hitleryzmu z Kościołem. Te nieporozumienia, niejednokrotnie pojawiające się między nacjonalizmami a katolicyzmem, których, zdawałoby się, w żadnym razie być nie powinno, są poważną groźbą i dla naszego ruchu narodowego, bo i on (choć niesłusznie) jest przez niektóre koła katolickie dosyć nawet ostro atakowany.

Nie chciałbym być źle zrozumiany i nie chciałbym przedewszystkiem sam psuć tej wymarzonej solidarności ideałów, ale rzucający się w oczy fakt sporów katolicyzmu z nacjonalizmami (za herezje niesłusznie je uważa Belloc) wymaga, według mnie, w interesie Polski, która jest i chce zostać katolickim narodem, dokładnego i jasnego omówienia tej sprawy.

Jakie są przyczyny tego smutnego stanu rzeczy? — Oprócz świadomej złej woli masońskiej, nad którą nie warto się dłużej zatrzymywać, skoro usunięcie jej nie leży w naszej mocy, a dostęp do kierowniczej hierarchji Kościoła i narodów ma ona wręcz uniemożliwiony, przenikanie zaś wpływów bardzo utrudnione — zostają się jeszcze dwie: nadmierna gorliwość ze strony sfer kościelnych i znacznie od niej poważniejsza: zatrute źródła szeregu doktryn narodowych.

Ta nadmierna gorliwość sfer kościelnych, wietrząca herezję tam, gdzie jej niema, a która już pięćset lat temu kazała biskupowi Cauchon w najlepszych intencjach spalić, jako heretyczkę, świętą Joannę — znajduje oparcie dla siebie w niektórych, niewłaściwie komentowanych i rozumianych hasłach narodowych. Skrupulatny teolog-scholastyk, wyczytawszy w jednej, czy drugiej broszurze jakieś zdanie, że „naród jest nad wszystko", czy że „nad naród nic niema", gotów w tych wyrażeniach dostrzec poprostu deifikację narodu, uznanie jego za cel sam w sobie, a więc niewątpliwą herezję, i w imię tego potępić ruch nawskroś dodatni i chcący czerpać swe prawdy z katolicyzmu. Ale teolog jest jednak w swojem prawie i zdania takie, jak również zdania o omnipotencji narodowego państwa, o ile je wziąć w sensie dosłownym, są naprawdę herezją i do konfliktu z Kościołem nieuchronnie prowadzą. To też winę tu poniesie raczej pisarz narodowy, jeśli takie poglądy, nie

licząc się z ich skutkami, w imię dobra narodowego lekkomyślnie głosi, a jeszcze więcej wtedy, gdy niedostatecznie świadom zasad katolicyzmu, chce je naprawdę wcielić do zbawczej doktryny [1]). Zresztą te utarczki, jako polegające przedewszystkiem na nieporozumieniu, nie są groźne i do głębszego zatargu nigdy nie doprowadzą, bo szersza dyskusja zawsze tę sprawę wyjaśni; o wiele gorsze jest, jeśli ruch narodowy z całą świadomością włącza w swą dokrynę różne poglądy, z któremi Kościół zgodzić się nie może.

Na pierwszy rzut oka wygląda to na paradoks — bo jak może być ruch katolicki, którego teorja zawierałaby coś sprzecznego z nauką Kościoła, przecież to oczywisty nonsens. Z punktu widzenia teorji niewątpliwie, ale praktyka uczy, że ten nonsens od lat się już w historji uporczywie powtarza, bo czemże ostatecznie była reformacja, jeśli nie ruchem na swój sposób katolickim, zmierzającym do naprawy Kościoła? A jakże bardzo katolickim był popadły w herezję Lammenais! Zresztą z reguły każdy heretyk ani myśli zrazu zrywać z Kościołem, ale chce go tylko samowolnie ulepszać i poprawiać. Dzisiaj tak czynią niektóre ruchy narodowe, jak „*Action Française*", tak głęboko religijna, że interdykt, rzucony na nią, ma się ochotę uważać za jakieś przykre i dziwne nieporozumienie.

Zagadka daje się rozwiązać bardzo prosto, tem, że te ruchy nie czerpią swych zasad z katolicyzmu, lub z prądów doń zbliżonych, ale że były tworzone jako reakcja na marksizm, nieraz przez dawnych marksistów, którzy dobre, jak im się zdawało, strony socjalizmu zjednoczyli z nacjonalizmem, a działając w krajach katolickich, ruch swój w imię tradycji sczepili z jego ideologją Tak więc Mussolini z socjalizmu i włoskiego nacjonalizmu Corradiniego zrobił faszyzm, a podobnie Hitler swój ruch, który nazwał nawet narodowym socjalizmem, wskazując tem, że choć zwalcza marksizm, ruch ten uważa po heglowsku za syntezę—tezy narodu z antytezą—socjalizmem. Podobnie też w ideologji Maurrasa tkwią pierwiastki syndykalistyczne, zaczerpnięte od Jerzego Sorela, a więc pośrednio także od Marxa. Widzimy więc, że u kolebki wszystkich tych ruchów nie stał katolicyzm, ale poglądy wyklęte i zwalczane przez Kościół, — nic więc dziwnego, iż czerpiąc z tych z atrutych źródeł nacjonalizmy te powpadały w konflikty z Kościołem, który nie mógł zgodzić się na ich heretyckie pierwiastki.

W „*Action Française*" ewolucja poszła (narazie) w kierunku pilnowania ortodoksji prądu, a tem samem w kierunku herezji; hitleryzm jest na rozdrożu: obok prawowiernych wyznawców katolicyzmu są w nim kierunki, dążące do całkowitego z Kościołem rozłamu, — wskazują na nie ostatnie wystąpienia kardynała Faulhabera przeciwko nordyckiemu neopoganizmowi i wciągnięcie na indeks czołowej dla hitleryzmu książki Rosenberga „Mit dwudziestego wieku" — nie ułatwia także zgodnego pożycia dopatrywanie się, przez niektórych „rasistów": pierwiastków semickich w katolicyzmie i zwalczanie przez nich Starego Testamentu wbrew Soborowi Trydenckiemu. Co do faszyzmu, to po zatargu w 1931 roku znalazł on drogę wyjścia i wiernie stoi przy Kościele, choć i tu pierwiastki, grożące nową walką („państwo całkowite"), nie zostały usunięte i pokój należy uważać za wyłączną zasługę taktu *duce*, nie wyciągającego wszystkich konsekwencyj z niekatolickiej w swem rdzeniu zasady. Szlachetnym wyjątkiem jest hiszpański nacjonalizm Gil Roblesa, obcy całkowicie antykatolickim źródłom ideowym.

Przechodząc teraz do naszych stosunków, z radością możemy stwierdzić, że u nas jest podobnie jak w Hiszpanji, że u kolebki naszego nacjonalizmu nie stały teorje, wyklęte przez Kościół, i że w miarę swego rozwoju nasz nacjonalizm staje się coraz bardziej katolicki, co jest całkiem jasne i zrozumiałe. Niemniej jednak niebezpieczeństwo konfliktu z Kościołem mimo wszystko istnieje i to nie tylko przez pewną lekkomyślność w głoszeniu haseł, ale także i przez wzrastający wpływ najpierw faszyzmu, a teraz hitleryzmu na naszą ideologję narodową; „*Action Française*" większego wpływu tu nie wywarła, bo będąc ruchem czysto intelektualnym i nie posiadając w swem ręku władzy, nie mogła nam zbytnio zaimponować—natomiast wszelkiego rodzaju koszule wywoływały u nas nieprzemyślane zapędy naśladowcze, co na szczęście ma się już ku końcowi. Mówię na szczęście, bo ruchy te nie są w stanie wzbogacić naszej ideologji, skoro każdy nacjonalizm musi szukać swych podstaw u siebie — a pewne szersze ich teorje, jakich nam brak, to właśnie te pochodzące z zatrutych źródeł, których unikać należy; wreszcie największe i powszechne źródło odrodzenia — katolicyzm jest dla nas dostępne bez ich pośrednictwa... Ostatecznie jedyna więc ich wartość dla nas — to sprawdzian praktyczny, możność obserwowania, bogacenie się w cudze doświadczenia — a one zalecają odcięcie się od zgubnych pierwiastków, odłączenia ognia z wodą, bratania nacjonalizmu z socjalizmem. — Kiedy tak się sprawa przedstawia, a teoretycznie samo pojęcie nacjonalizmu nie staje w sprzeczności z ideała-

[1]) Uwzględnić tu jednak należy sposób wyrażania się, powszechny w naszym języku. W tem rozumieniu np. superlatyw: — „nad naród nic niema" — nie oznacza bynajmniej, że naród jest bezwględnie dobrem najwyższem, a tylko to, że wśród pewnego szeregu dóbr zajmuje on miejsce pierwsze. Czyż np. wyrażenie „najukochańsza matka" nie może być przez kogoś komentowane jako „deifikacja rodziny" i herezja, skoro najukochańszym dla człowieka może powinien być tylko — Bóg?

u Kościoła (nawet według wietrzącego w niem herezję Belloca), można chyba śmiało twierdzić, że walki polskiego narodu z katolicyzmem masonerja się u nas nie doczeka, że solidarność ideałów nie będzie rozbita. Ten horoskop można tem pewniej stawiać, że w doktrynie naszego nacjonalizmu nie ma zasadniczo nic sprzecznego wierze, a ludzie, tworzący tę teorję, mają silną wolę budowania jej po katolicku. Jeśli są więc jakieś drobne sprzeczności, to, poza źle rozumianą frazeologją, której należy się wystrzegać, pochodzą one tylko z niedostatecznej znajomości zasad Kościoła i niedostatecznego przemyślenia skutków głoszonych teoryj— to wszystko zaś nie są przeszkody zasadnicze. Usunie je się łatwo, szerząc znajomość dogmatów i wskazań Kościoła i utrzymując w narodzie naszym ducha poddania się Jego nauce—bo w sporze dwu teoryj: ludzkiej i Bożej — szczęście ludzkie znajduje się tylko w poddaniu, i tak jak człowiek przez rezygnację i uzgodnienie swojej woli z Bożą osiąga szczęście, tak samo naród szczęście i wielkość zawdzięczać może tylko ciągłej służbie ideałom Bożym.

KAROL STEFAN FRYCZ

Z TAJNIKÓW POLITYKI ŻYDOWSKIEJ

(Ciąg dalszy)

WSZYSCY zatem się wyparli. Lecz fakt zawarcia dwu układów między żydami a rządem Hitlera pozostał całkiem niewątpliwy. Tymczasem komisja polityczna poufnie:

„rozważa szczegóły układu, zwłaszcza zastanawia się nad kwestją jak zapobiec wyzyskaniu układu przez dyplomację niemiecką jako narzędzia do podważenia żyd. ruchu bojkotowego". („Chwila" nr. 5190).

„Sprawa układu nabrała takich rozmiarów, że komisja rozpatruje obecnie różne strony tej sprawy, aby znaleźć rozwiązanie, któreby odpowiadało żądaniom różnych stron". (Tamże).

1-go września Samuel Untermeier w imieniu Ameryk. Organ. Syjon. żąda odrzucenia układu, grożąc w przeciwnym razie odwołaniem ameryk. delegacji z Kongresu („Chw." Nr. 5190). Tymczasem szczegóły napływają:

„Komisja polit. radzi nad sprawą układu z rządem niemieckim, dotyczącym zezwolenia na wywóz majątków żydowskich w formie transferu za towary niem., eksportowane do Palestyny. Autorem i twórcą tej „tranzakcji" jest p. Sem Cohen i p. Hoofies, dyr. Anglo-Palest. Banku. Obaj ci panowie udzielali dziś na komisji polit. bliższych wyjaśnień i informacyj. Wybrano podkomisję, która ma sprawą tą się zająć. O sprawie tej, jako poufnej, nie można szerzej pisać" („Chwila" nr. 5190).

Umowa translerowa, jak się okazało, opiewa dla I transzy na 3 milj. marek. Emigranci będą mogli wywozić kwotę do 15 tys. mk., wpłacając ją na specjalne konto Banku Rzeszy, które to konto płacić będzie za towary niemieckie sprowadzone do Palestyny,

„tak, że emigracja będzie się mogła odbywać bez obciążenia dewizowego Banku Rzeszy, a jednocześnie z poparciem eksportu niemieckiego". („Chwila" nr. 5191).

Tam gdzie jest korzyść, tam jest zgoda. W tym samem zaś dniu:

„Berl Locker (lewica) powtórzył oświadczenie, że Egzekutywa nie prowadziła żadnych pertraktacyj, ani zawierała żadnych układów. Szczegóły jednak nie mogą być podane do wiadomości *plenum*". (Tamże).

„W kom. polit. wskazano, że o ile układ „transferowy" ma pewne uzasadnienie, o tyle układ kompensacyjny jest bezwzględnie szkodliwy i koliduje z najistotniejszemi interesami narodu żydowskiego". (Tamże).

Układy wywołały burzliwą dyskusję na łamach prasy:

„Najbardziej brzemiennym epizodem jest ów ujawniony i nieujawniony na kongresie układ z Hitlerem. Ujawniony, bo zna się dokładnie całą treść jego, ogłoszoną przez niemiecką prasę dosłownie. Nieujawniony, bo ogół żydowski dotychczas jeszcze nie wie, kto ze strony żydowskiej układ ten zawarł, kto za tym układem stoi, dyr. Banku Palestyńskiego napewno na własną rękę nie działał. Propagujemy hasło bojkotu towarów niemieckich, a tu żąda się od nas, byśmy stali się ich odbiorcami i propagatorami. Okoliczności, wśród których doszedł do skutku, otoczone są jeszcze mgłą". („Chwila" nr. 5192).

Tymczasem stwierdzono: (dosłownie!):

„Anglo-Palestyński Bank nie miał nic wspólnego z tym układem i nigdy na ten układ zgody swej nie wyraził—wbrew oświadczeniu rządu niemieckiego" (Tamże).

Słowa te przedstawicielowi Żat'a powiedział ten sam Hoofies... Jednocześnie wyjaśnia się sprawa układu „kompensacyjnego". Twórcą jego był dyr. Banku Anglo-Palestyńskiego dr. Jerzy Halpern:

„dotyczy on wymiany pomarańcz palestyńskich na niemieckie wyroby przemysłowe. Niemcy zgodziły się przyznać pomarańczom palestyńskim lepsze warunki niż hiszpańskim. Wzamian za to przedstawiciele palestyńscy zgodzili się zakupić towary za sumę dwukrotnie wyższą niż import pomarańcz z Palestyny do Niemiec". („Chwila" nr. 5192).

Niema zatem nawet pozorów ratowania majątku żydów niemieckich. Zwykły handel, gdzie żydzi wschodni łamią bojkot, propagowany przez żydów zachodnich.

Grossman uparcie żądający wyjaśnień w sprawie układów, doczekał się uchwały:

„Kongres poleca Komitetowi Wykonawczemu udzielenie odpowiedzi na interpelację Grossmana". („Chwila nr. 5194).

Zatem na *plenum*, wyjaśnień nie udzielono. A. C. (Komitet Wykonawczy) zaś — umiał zachować dyskrecję.

W tej sytuacji sprawa została przerwana z powodu zamknięcia Kongresu. Komitet Wykonawczy na swem pierwszem posiedzeniu zajął się powyższą sprawą (6.IX.1934):

„Po gwałtownej debacie posiedzenie A. C. zostało przerwane. Następne posiedzenie, na którem miało być sprecyzowane stanowisko w komisji w tej sprawie, zostało odroczone na wtorek". („Chwila" nr. 5195).

A we wtorek?

„Większość członków A. C. nie przyszła na posiedzenie. Poszczególne partje oskarżają się nawzajem, utrzymując, że niezjawienie się na posiedzenie było umyślne, że nieobecni zamierzali przez to spowodować udaremnienie dyskusji i ewentualnej decyzji w sprawie układu transferowego z rządem niemieckim. Sesja A. C. nie została nawet formalnie zamknięta". (Tamże).

Biedny Meir Grossman wyjaśnień nie otrzymał. Wszyscy się układów wyparli. Tymczasem organ rewizjonistów paryski „*Razswiet*" w Nr. 28 z r. 1933 pisze dosłownie:

„Zasłanianie się tem, że egzekutywa Syjon. nie brała udziału w układzie z Niemcami jest poprostu podłością (*licemierje*). Polityka Ang.-Palestyńskiego Banku jak i polityka innych syjonistycznych instytucyj, kierowana jest przez Egzekutywę, A. C. i Kongres. Wiadomo przytem, że akcje Ang.-Palestyńskiego Banku są własnością kolonjalnego Banku w Londynie, a prezesem rady nadzorczej tego Banku jest... prezydent Kongresu Motzkin".

Trudno o niedyskrecję w większym stylu. Zresztą społ. żydowskie było już zorjentowane. Szalom Asz, w artykule „Żydowskość pomarańczowa" pisał:

„Czy to być może? Zawarto układ, który cały naród żydowski określi tylko jedną właściwą nazwą: zdrada! Czy nie paliły się im ręce, gdy sprzedali za 3 miljony marek judaszowych, nasz ból i naszą hańbę!" („Chwila" nr. 5195).

*

Z poprzednich stron widać, jak ciężka sytuacja wytworzyła się przed Kongresem, który miał zabrać głos w związku z „zimnym programem" wytępienia żydów w Niemczech. Opinja żydowska domagała się haseł potępienia, haseł bojkotu. Sprawa przedstawiała się nad wyraz kompromitująco. Atak prawicy, żądającej ogłoszenia bojkotu napotykał na cichy, lecz zdecydowany opór lewych, którzy już swój bojkot sprzedali za 3 miljony marek.

Doszło wreszcie do kompromisu.

Kongres wydał bladą odezwę, w której nie było ani słowa o bojkocie towarów niemieckich. Najostrzejszy punkt tej odezwy brzmiał:

— „Kongres Syjonistyczny składa uroczyste ślubowanie, iż nie zazna spokoju, aż krzywda żydów niemieckich będzie naprawiona" („Chwila" nr. 5184).

Jeszcze 4 dni przed otwarciem kongresu Ogólni Syjoniści uchwalili nie żądać dyskusji generalnej nad rezolucją (w sprawie niemieckiej) na *plenum* Kongresu" (Chwila" nr. 5187).

Widać z tego, że większość Kongresu stanęła na stanowisku żydów wschodnich. Zresztą nie było w interesie żydów zachodnich ogłaszać światu, do jakich rozmiarów doszedł wewnętrzny kryzys w żydostwie.

*

4 września uchwalono budżet Organizacji Syjonistycznej, przewidujący wpływy 175.000 funtów sterlingów, natomiast wydatki 233,700 funtów sterl. (w czem na amortyzację długów — 75.000 funtów).

Jak widzimy, budżet jest więc deficytowy. Porównując go z budżetem uchwalonym na poprzednim Kongresie XVII, gdzie wyniósł on około 500.000 funtów sterlingów, stwierdzić należy spadek tego budżetu o 65%.

Zawinił tu niewątpliwie kryzys światowy Ale może kryje się w tem też *votum* nieufności żydów amerykańskich i wogóle plutokracji żydowskiej, której nie w smak idzie rosnący wpływ lewicy na organizację Syjonistyczną.

Skutki tego łatwo przewidzieć:

„Całemi miesiącami nie wypłaca się poborów funkcjonarjuszów. Agencja Żydowska masowo pisze weksle, na które niema pokrycia" („Chwila" Nr. 5173).

*

Po dłuższej dyskusji i ostrych sprzeciwach kongres powziął również uchwałę, zmieniającą

„nietylko Konstytucję Organ. Syjonistycznej, lecz również tradycję Kongresów"... „Kongres upoważnił Komitet Wykonawczy do zwoływania Kongresu nie co 2 lata, jak dotychczas, lecz co 3 lata, jeżeli Komitet postanowił to większością dwuch trzecich głosów" („Chwila" Nr. 5193).

Widać z tego, że Kongres nie zadowolił nikogo. Co więcej, znalazła się większość, która zrobiła krok dalszy w kierunku osłabienia tempa pracy Organizacji Syjonist. Początkowo kongresy odbywały się co rok — potem co 2 lata — obecnie zaś jest tendencja do dalszego zwiększania odstępów między Kongresami.

Mimowoli nasuwa się myśl, że w miarę opanowywania go przez lewicę, staje się instytucja Kongresu uciążliwą. Dalsze odraczanie terminu łamie tradycję i zmienia „konstytucję", tych zaś czynników niebezpiecznie tykać bez narażania organizacji na rozkład.

P. Ozjasz Spiro w „Miesięczniku Żydowskim" (zeszyt 7—8 z r. 1933) pisze:

„18 Kongresowi zrobiono złą opinję. Jeszcze podczas kongresu „obrabiano" prasę w duchu opozycyjnym do Kongresu i przygotowano ją do generalnego ataku po Kongresie. Tendencje tej kampanji i źródła leżały znacznie głębiej, a mianowicie — w niezadowoleniu i niechęci prawej strony kongresu do faktu zdobycia przez lewicę dominującego stanowiska w ruchu i na kongresie".

Widocznie mniejszość potrafiła przeforsować niektóre ważkie uchwały. Zobaczymy zresztą, że większość musiała czasem ustępować mniejszości. Tłumaczyć to można dwoma czynnikami: tajne sprężyny — i kompromis.

*

Wybór nowych władz napotkał na wielkie trudności. Rozbieżność zdań w tajnych naradach zakulisowych w zasadniczych kwestjach światowej polityki żydowskiej doprowadziła do zupełnego niemal rozłamu i utworzenie Egzekutywy koalicyjnej, pomimo ogromnych wysiłków, rezultatu nie dało. Żydzi zachodni, szczególnie amerykańscy, zajęli zdecydowanie negatywne stanowisko wobec polityki żydów wschodnich, wchodzących w porozumienie z Hitlerem. Na lewicę wywierano ogromną presję, przyczem głównym argumentem były prawdopodobnie dolary amerykańskie, mające zasilać fundusze Organizacji. Mniejszość prawicowa potrafiła też zarzucić pewne rzeczy lewicy.

W ostatnich niemal godzinach decydowano najważniejsze sprawy pod groźbą wyjazdu delegacji amerykańskiej, co równoznaczne byłoby z zerwaniem Kongresu.

Lewica usiłowała utworzyć t. zw. małą egzekutywę, w której skład weszłaby lewica, radykalni i grupa A ogólnych. O współpracy z rewizjonistami mowy być nie mogło. Na czele tej egzekutywy stanąć miał prof. Chaim Weizman. Dlaczego lewica, narażając się nawet na upokorzenie, usiłowała pozyskać Weizmana, domyślić się łatwo. Gdyby Weizman zawarł „sojusz" z lewicą i stałby się niejako jej przywódcą, byłoby to zwycięstwo lewicy tam, gdzie jej wpływy jeszcze nie sięgają. Zdobyłaby ona sobie pozycję w tajnych ośrodkach politycznych żydów zachodnich, zadałaby im cios silny—uwzględniając ogromny wpływ Weizmana na zachodzie — szczególnie wśród żydów angielskich. Mogłoby to być zwycięstwo Wschodu w walce z Zachodem.

Jaką rolę odegrał tu Weizman — trudno powiedzieć. Taktyka jego była bardzo zagadkowa. Zbyt wielkie konsekwencje pociągał za sobą jego kompromis z lewicą, by mogło to gładko nastąpić.

Zdaje się, że na XVIII Kongresie walka ta zakończona nie została. Wróćmy jednak do wyborów Prezydenta organizacji:

„Prawdą atoli jest, że różne siły i moce pracują za Weizmanem. Ale robotnikom pono stawia Weizman twarde warunki, które bardzo ich złoszczą. Mimo to są oni za Weizmanem, jednak nie z miłości lecz z musu, bo muszą go mieć. Jeżeli koncepcja Weizmanowska się rozbije, będzie musiał raz jeszcze Kongres zaapelować do senjora ruchu (Sokołowa), by stanął na czele organizacji" („Chwila" Nr. 5187 str. 7).

A Weizman?

„Weizman krąży dookoła Pragi, nikt nie wie, gdzie przebywa, ale czuje się w powietrzu, że gdzieś niedaleko Pragi. Sensację dnia wczorajszego stanowiła wiadomość, że Weizman odmówił delegacji robotniczej, złożonej z Ben-Luriona i Szprincaka, stanowczo objęcia prezydentury Organizacji" („Chwila" Nr. 5187).

Dalej zaś:

„Nikt nie odbierze Weizmanowi jego siły. Ale często daje się odczuć poprostu lęk przed jego sterem. Lęk niepozbawiony uzasadnienia, mojem skromnem zdaniem. Od chwili, gdy pojawił się na kongresie Sacher, rozpoczął się proces rozdwajania się wśród ogólnych syjonistów. Weizman umie pamiętać, by nie użyć innego wyrażenia. Nie zapomni o tem, że b. poważna grupa ogólnych syjonistów obaliła go na XVII kongresie... W kwestji rewizjonistów Weizman jest nieugięty i podsyca tendencje zbiorowej ekspedykcji karnej... Chicagowska mowa Weizmana w poważnym stopniu pokrzyżowała rokowania, jakie egzekutywa prowadziła z arabami z Transjordanji dokoła ustanowienia przyjaznych stosunków" („Chwila" Nr. 5188).

W taktyce Weizmana są elementy, skierowane przeciw prawicy i przeciw lewicy. Nadszedł jednak moment wyborów. Trzeba było decydować. Amerykanie grożą wyjazdem. Weizmana warunki są nie do przyjęcia. Czas nagli:

„Największe trudności z utworzeniem nowej Egzekutywy leżą w osobie prezyd. Sokołowa. Lewica nie chciała żadną miarą zgodzić się na wybór Sokołowa Prezydentem, następnie godziła się na wybranie go honorowym Prezydentem, — ale Sokołow odmówił. Sokołow był twardy. Lewica musiała ustąpić. Musiała jednak zasięgnąć zgody tego, który był nieobecny — Weizmana. Louis Lipski był tym, który o godz. 3 rano połączył się telefonicznie z Weizmanem i uzyskał jego zgodę na wybór prezydentem Sokołowa". („Chwila" Nr. 5198).

Tak ugięła się zwycięska lewica pod naciskiem jej nielicznych, lecz widocznie silniejszych przeciwników.

W formie przypowieści wytłumaczy nam to „mądry i przebiegły" („Chwila" Nr. 5194) rabin Brodt z Tomaszowa:

„W komisji permanencyjnej rabin Brodt (Tomaszów) opowiedział znakomitą historyjkę o żydzie, który chciał wygrać na loterji... Urządził sobie naprzód loterję na wyciągnięcie losu, którym miał grać na właściwej loterji... Wyciągnął los do losowania i strasznie się cieszył... Taki los wyciągnęła lewica... Przywódca robotników, p. Remes, aplaudował... W rzeczy samej, tak jest, jak powiedział rabin Brodt. Lewica to wie i dlatego będzie ostrożna, bo narazie ma tylko los... do losowania..." („Chwila" Nr. 5193).

Widocznie potężne były moce, z któremi zwarła się opozycja żydów wschodnich mająca większość na kongresie, skoro „mądry i przebiegły" rabin Brodt mógł taką historyjkę opowiedzieć. To była ta sama moc, która zabiła Arlosoroffa...

W ciekawem świetle widzimy tu osobę prezydenta Sokołowa. Zostaje on narzucony przez jakieś tajne moce na Prezydenta organizacji, wbrew woli większości lewicowej, która „nie chciała żadną miarą zgodzić się" na jego wybór. Lecz „Sokołow był twardy". I większość ponownie uchyliła czoła... Widocznie lewica miała większość kart jawnych w grze. Karty jednak tajne miał przeciwnik. One przeważyły. Lewica ugięła jeszcze raz karku przed rozkazem tajnych władz Izraela.

Widocznie na tem polegał kompromis—gdyż korzystny podział stanowisk dla lewicy, wynikający z powstania „małej egzekutywy", obejmującej elementy lewicowe,—administrację organizacji oddał w jej ręce. Poza egzekutywą znaleźli się—Ogólni grupy B. Mizrachi i Rewizjoniści.

Nowoobrana Egzekutywa podzielona została na 2 części, z których większa urzęduje w Palestynie — mniejsza w Londynie, jeden zaś przedstawiciel w Ameryce.

(dok. nast.) ADAM JAKUBOWICZ

PIRANDELLOWSKA KONCEPCJA CZŁOWIEKA

II

CECHĄ wyróżniającą człowieka od zwierzęcia jest, według Pirandella, zdolność refleksji nad swem własnem życiem, zdolność ujęcia go w pewną formę[1]): „Człowiek, godny naprawdę tego miana, nie żyje, żeby żyć, nie wiedząc, że żyje... Żyje, by dać pewien sens i pewną wartość swemu istnieniu"[2]).

Ta zdolność przeciwstawiania się, do pewnego stopnia przynajmniej, biegowi zdarzeń, ta możliwość kształtowania sobie swego życia, wynosi z jednej strony człowieka ponad świat bezrozumnych stworzeń, lecz z drugiej nosi w sobie zaród tragedji i bólu, życie bowiem—to potok roztopionej lawy, który łamie i przepala swym ogniem wszelkie przeciwstawiające się mu zapory, wszelkie, usiłujące ująć je w swe ramy, formy.

Tu właśnie leży źródło tragedji człowieka, który chce zasklepić się w jakiejś formie, gdy tymczasem życie nie da się nigdy zasklepić i płynie swym korytem, nie oglądając się na żadne wznoszone przez człowieka zapory.

To też, gdy ten człowiek, unieruchomiony w jakiejś przez siebie obranej, czy przez społeczeństwo narzuconej mu formie, obejrzy się poza

[1]) Ta zdolność charakteryzuje przedewszystkiem mężczyzn, Pirandello uważa bowiem kobietę za istotę działającą raczej pod wpływem życiowych impulsów i instynktów, niż świadomej siebie woli. Z natury swej kobieta nie uczuwa potrzeby nadania swemu życiu pewnej formy, zadowalając się tem, co ono jej daje.

Należy zresztą pamiętać, że te dwie postawy wobec życia (które Pirandello nazywa męską i kobiecą) nie mają wartości absolutnej, będąc jedynie niedoskonałemi, siłą rzeczy uogólnieniami, gdyż jak z jednej strony niema mężczyzny, któryby wytrwał w swej formie pod naporem fali życia (przypadek Henryka IV jest zupełnie wyjątkowy), tak z drugiej niema kobiety, któraby nie chciała, w pewnej chwili przynajmniej, przyodziać się w pewną formę. (Nieszczęśliwa Hersylja Drei z „Nagich Przyodziać" jest najbardziej wymowną ilustracją tej tezy).

[2]) Por. „Sześć Postaci w Poszukiwaniu Autora".

siebie, spostrzega często, że życie dawno już przez tę obraną przezeń formę przeszło i pozostawiło ją poza sobą, tak, że dziś jest już ona złudną, nieodpowiadającą rzeczywistości fikcją[3]).

Ta chwila, gdy obrana przez nas lub narzucona nam forma (maska) kruszy się pod naporem życia i spada, jest chwilą zwrotną naszego istnienia: idea, która wydawała się nam rdzeniem naszej osobowości, podstawą i fundamentem naszego świadomego życia, leży zdruzgotana u naszych stóp, a my stoimy wobec Przeznaczenia, nadzy, w nieświadomości losu, który ono nam gotuje, bezsilni w swej niemocy, bezwolni jak kukiełki wobec porywającej nas życiowej fali[4])...

Ta, wynikająca z naszego przeznaczenia, tragiczna walka życia i formy jest przedmiotem większości nowel i powieści Pirandella i wszystkich jego dramatów[5]).

Bohaterowie Pirandella, będący przeważnie uosobieniami organizującej życie formy, są po większej części unieruchomieni w jakiejś przez się obranej formie (jak np. Baldovino z „Rozkoszy Uczciwości", prof. Toti z „Baczność, Giacomino", no i Henryk IV-y[6]). Dramat powstaje wtedy, gdy albo uświadomiają sobie nagle, że nie są tem, za co się uważali, lecz czemś innem[7]), albo też, gdy obrana przez nich forma kruszy się i łamie pod naporem życia[8]).

Bohaterki Pirandella są znowu przeważnie dramatycznem usymbolizowaniem nieokiełznanej i niedającej się ująć w formę życiowości. Dramat powstaje wtedy, gdy warunki zmuszają je do przybrania pewnej formy[9]).

Ostateczne zwycięstwo życia nad formą, twarzy nad maską, przybiera w dramatach Pirandella najrozmaitsze kształty, zależnie od okoliczności: wzruszony miłością i dobrocią swej młodej żony Baldovino kruszy swą maskę i wyrzeka się swej formy (formy szlachetnego człowieka, który z litości poślubia uwiedzioną przez arystokratę dziewczynę), by otworzyć swe serce dla miłości. Fulvia (z „Jak przedtem, lepiej, niż przedtem") wyrzeka się swej maski macochy i, rzucając się w życie, łączy się z człowiekiem, który kochał ją w ukryciu. Memmo Speranzo, fikcyjny mąż Gasparyny (z „Lecz to nie jest rzeczą poważną") staje się w końcu jej mężem prawdziwym.

Inaczej jednak ma się sprawa z Mateuszem Pascalem, bohaterem słynnej powieści *„Il fu Mattia Pascal"*, która ugruntowała we Włoszech sławę literacką Pirandella. Po rozmaitych perypetjach, których nie tu miejsce streszczać, decyduje się on wreszcie wrócić do swej wioski i wejść znowu w swą dawną osobowość.

Jak się więc ma sprawa z Henrykiem IV, którego wystawienie w Teatrze Nowym dało pole do tylu sprzecznych z sobą interpretacyj?[10]). Czy ma tu miejsce zwycięstwo formy (maski) nad życiem, czy też życia nad formą? Co nowego przynosi ten dramat (uważany obok „Sześciu Postaci w Poszukiwaniu Autora" za najcelniejszą sztukę Pirandella) do już poruszanych w poprzednich sztukach problemów, na czem zasadza się oryginalność jego rozwiązania i jakie jest jego miejsce w dramatycznym dorobku Pirandella?

Bardzo ciekawie opowiada Pirandello o genezie „Henryka IV": „Przeglądając jakieś ilustrowane czasopismo, zauważyłem w niem rycinę, przedstawiającą jakąś karnawałową historyczną kawalkadę... i nagle przyszła mi myśl: „Jeśliby jeden z tych przebranych za królów lub cesarzy panów spadł np. z konia na głowę i zwarjował, to czy nie uważałby się on czasem naprawdę za osobę, za którą się przebrał?"

Oto wizja, będąca źródłem powstania „Henryka IV-go", wizja wprowadzająca nas odrazu w sam rdzeń pirandellowskiej koncepcji życia, opartej na antagonizmie formy i życiowości. Obłęd, który podczas karnawałowej kawalkady dotyka przebranego za Henryka IV-go młodzieńca, jest tylko dramatycznem usymbolizowaniem tragedji ludzkiego przeznaczenia.

Ta barwna, karnawałowa kawalkada młodych i pięknych mężczyzn, młodych i pięknych kobiet, przebranych w przeróżne stroje historyczne, to nic innego, jak samo życie, które płynie tak, jak ten orszak karnawałowy, a którego uczestnicy (to jest wszyscy żyjący) występują również w najrozmaitszych maskach, zupełnie podobnie jak ci uczestnicy karnawałowej zabawy...

---

[3]) To charakterystyczne dla bohaterów Pirandella pomieszanie rzeczywistości i złudy zbliża go najbardziej do teatru marjonetek (Chiarelli, Antonelli, Cavacchioli, Pier Marja Rosso di San Secondo, Faust Marja Martini).

[4]) Dla ilustracji wyżej powiedzianego przypomnijmy sobie postać nieszczęśliwej Hersylji Drei (z „Nagich Przyodziać"), której życie nigdy nie mogło stać się „czemś", „czemkolwiek" lub starego rzeźbiarza Giuncano (z „Djana i Tuda"), który tłucze wszystkie swe posągi (jako zakrzepłe na zawsze w swej formie) i czyni swe witalistyczne wyznanie wiary.

[5]) Ona również jest punktem wyjścia dla jego teorji humoru, wyłożonej we wspomnianem już w pierwszej części naszego artykułu dziele *„L'Umorismo"* (Florencja, 1920).

Mimowoli ciśnie się pod pióro zestawienie tej dualistycznej koncepcji życia Pirandella z dualistyczną koncepcją — urodzonego w tym samym Agrygencie dwa i pół tysiąca lat przed nim — Empedoklesa, dla którego cały proces stawania się wynika z walki Miłości z Nienawiścią. Prawda, że dualistyczna koncepcja Pirandella ma nietyle charakter afektywny, co intelektualny, niemniej jednak sam fakt dualizmu ontologicznego u obu odgrodzonych przestrzenią dwu i pół tysiąca lat synów Agrygentu jest uderzający i stanowi jakżeż wymowną ilustrację tezy Barrés'a o wpływie ziemi, tradycji i rasy na kształtowanie się naszej ideologji.

[6]) Z tą wszakże różnicą, że gdy inni bohaterowie nałożyli na siebie swą formę świadomie, Henrykowi została ona narzucona przez obłęd.

[7]) Przypomnijmy sobie przerażenie i rozpacz „Henryka IV", gdy uświadamia sobie, w momencie ustąpienia obłędu, że nie jest młodym cesarzem Niemiec, lecz biednym, nieszczęśliwym człowiekiem, którego świat odtrącił przed dwudziestu laty i napiętnował mianem warjata.

[8]) Jak u Baldovina (z „Rozkoszy Uczciwości") na końcu III-go aktu.

[9]) Tak ma się naprzykład sprawa z bohaterką niezmiernie wzruszającej i pięknie zbudowanej sztuki: „Jak przedtem, lepiej, niż przedtem". Matka w oczach własnej córki (która ją uważa za umarłą) musi uchodzić za jej macochę. Ta nienawiść córki do własnej matki (którą uważa za swą macochę) jest wątkiem niezmiernie wzruszającego dramatu, który oby i u nas doczekał się kiedykolwiek wystawienia!

[10]) Gdy Boy-Żeleński widzi w „Henryku IV" jakiś „indywidualnie przeżyty, perwersyjnie skomplikowany problem Hamleta" („Kur. Por." z 22.12.1934), to dla pana Fil. jest on sensacyjną sztuką o kryminalistycznej osnowie („Gaz. Warsz." z 30.12.1934), a dla pana W. J. C. poprostu *humbug*'iem („Myśl Nar." nr. 55 z 1934 r.), że ograniczę się na tych trzech przykładach.

Życie wciąż płynie i z każdą chwilą jest inne, gdy maska z natury swojej pozostaje wciąż ta sama i niezmienna. Mądrość życiowa polegałaby więc na tem by człowiek każdorazowo dostosował swą maskę (formę) do danej sytuacji, odpowiednio do zmieniających się wciąż warunków życiowych. Inaczej grozi mu skrzepnięcie w tej masce, unieruchomienie w wiecznej teraźniejszości, zerwanie związków ze światem, czasem i życiem [11]).

To unieruchomienie głównego bohatera w jakiejś masce (formie) jest jednym z ulubionych tematów Pirandella. Gdy wszakże inni bohaterowie (jak np. Baldovino) nakładają na siebie swe maski świadomie, maska Henryka IV-go została mu narzucona przez obłęd.

I oto ten nieszczęśliwy człowiek tkwi już dwadzieścia lat w swej tragicznej masce „poza światem, poza czasem, poza życiem", uważając się wciąż nie tylko za Henryka IV-go, ale wyobrażając sobie, że jest wciąż dwudziestosześcioletnim Henrykiem IV-ym u bram Kanossy.

Gdy po kilkunastu latach pomieszania, zmysłów w przystępie nagłego rozjaśnienia odzyskuje świadomość siebie, pojmuje wtedy, że nie jest młodzieńczym Henrykiem IV-ym niemieckim, lecz tylko zwykłym człowiekiem, który z powodu nieszczęśliwego wypadku został na dwadzieścia lat wykluczony z życia i zestarzał się w swej masce. Zapóźno więc, by wrócić do życia, zapóźno, by nawiązać swe zakrzepnięte przez dwadzieścia lat w masce Henryka IV-go życie do zdarzeń z przed lat dwudziestu [12]). Lepiej pogrążyć się znów w swym świadomym już teraz obłędzie, niż wrócić do życia z piętnem warjata na twarzy, lepiej pozostać dalej Henrykiem IV-ym, niż przeciętnym zjadaczem chleba — bohater nasz decyduje się, teraz już świadomie, zakrzepnąć znów w tej masce młodego cesarza Niemiec, udawać dalej obłęd, gdyż już zapóźno, by powiązać z teraźniejszością swe domowe życie.

Przedtem jednak zabija sprawcę swego nieszczęścia, barona Tytusa Belcredi, mszcząc się w ten sposób na człowieku, który przed dwudziestu laty wykluczył go z życia i zawładnął ukochaną przezeń kobietą (hrabiną Matyldą Spina). Uczyniwszy to, pogrąża się znów, teraz już z pełnią świadomości, w swej tragicznej masce młodego cesarza Niemiec.

W przeciwieństwie więc do dotychczas stworzonych bohaterów, którzy popadali w rozpacz, gdy odkrywali, że oddawna tkwili nieświadomie w jakiejś masce, Henryk IV-ty odnosi zwycięstwo nad gniotącą go rzeczywistością, czyniąc z narzuconej mu przez obłęd maski Henryka IV-ego maskę świadomą i mszcząc się na sprawcy swego nieszczęścia.

Przez to oryginalne rozwiązanie, stwierdzające po raz pierwszy zwycięstwo formy nad życiem, świadomej siebie woli nad przeznaczeniem, „Henryk IV-ty" zajmuje przełomowe miejsce w twórczości Pirandella.

W „Henryku IV-tym" Pirandello po raz pierwszy przełamał swój fatalistyczny witalizm, wznosząc się do koncepcji formy jako twórczyni i organizatorki życia [13]), do uświadomienia sobie twórczej roli woli.

Prawda, że ta świadomość nie jest jeszcze całkowita i należycie wydobyta, nie mniej jednak pierwszy wielki wyłom w jego fatalizmie został dokonany, a droga dla woluntarystycznego spirytualizmu utorowana.

Kończymy życzeniem, by genjalny twórca „Henryka IV-go" i „Sześciu Postaci" osiągnął pełnięświadomości autonomji i wolności ducha, by dał tej świadomości jak najpełniejszy artystyczny wyraz, godny postawić go obok Dantów i Szekspirów [14])

STANISŁAW CZAJKOWSKI

---

[11]) „Poza światem, poza czasem, poza życiem"—skarży się nieszczęśliwy „Henryk IV-ty."

[12]) Ten sam problem staje przed Mateuszem Pascalem

[13]) Wiele analogij możnaby przeprowadzić między tak pojętą koncepcją formy, a jej koncepją klasyczną—koncepcją Arystotelesa.

[14]) Wzmiankowana w artykule Silvio d'Amico o Pirandellu („Przegląd Współczesny" Nr. 152) jednoaktówka *„La Sagra del Signore della Nave"*, w której pogrążeni dotąd w uciechach i obżarstwie ludzie, na widok procesji z wizerunkiem ociekającego krwią Chrystusa przychodzą do opamiętania, biją się w piersi i błagają łaski, jak również „Łazarz" zdają się realizować to nasze życzenie.

PER ANALOGIAM

ZABIERAJĄC głos w dyskusji p.p. Pieńkowskiego i Grzegorczyka o asonansie, zdaję sobie sprawę, że żadna ze stron nie będzie ze mnie w pełni zadowolona. Nie mam bowiem zamiaru przyłączyć się do żadnej z nich, uważam, że słuszność jest pomiędzy obu punktami widzenia — wprawdzie nie w samym środku, ale w każdym razie pomiędzy niemi, choć bliżej stanowiska p. Pieńkowskiego.

I z nim nie we wszystkiem mogę się zgodzić. Zarzuca on p. Grzegorczykowi niepotrzebne przytoczenie szeregu nazwisk z literatur obcych. Sądzę, że tak sprawy brać nie można. O tyle, o ile może ją rozstrzygnąć polemika teoretyków, zanim zrobi to naprawdę ogół czytający poezje i praktyka poetów w następnych pokoleniach, — jedyną metodą, dającą zastosować się, jest analogja. Ale nie analogja co do samego użycia asonansu, bo tu rzeczywiście epizody z rozwoju formy poetyckiej na gruncie obcym nic nie znaczą, ale co do większego lub mniejszego powodzenia, z jakiem spotykały się próby zdobycia prawa obywatelstwa dla form u danego narodu nowych, nieuświęconych jego tradycją. Że stosując analogję, będę przeważnie trzymał się terenu angielskiego, proszę mi wybaczyć, chciałbym, o ile możności, być u siebie.

Czynnikiem, rozstrzygającym o losie nowych form metrycznych, jest reakcja przeciętnego czytelnika poezyj, a ta zależy od natury języka, od jego warunków iloczasowych, akcentowych, fonetycznych, tonicznych. Na ich podłożu rozwinęło

się coś, co trudno określić, ale co się wyczuwa. Jest to t. zw. duch języka.

U Greków i Rzymian wierszowanie polegało na iloczasie. Akcentu w naszem znaczeniu t. j. przycisku nie było, był natomiast akcent toniczny, stanowiący czynnik ważny, ale bezwątpienia wtórny. Rym ukazywał się czasem jako przypadkowa lub umyślna ozdoba — narówni z aliteracją lub onomatopeją.

W miarę rozwoju języka łacińskiego zwolna zatracały się iloczas i akcent toniczny, wypierany przez przycisk. Ten zaczął wybijać się na pierwsze miejsce w metryce. Starożytne stopy nabrały takiej wartości, jaką dziś mają np. w języku polskim. Trochej nie był już kombinacją zgłoski długiej i krótkiej, lecz akcentowanej (w naszem znaczeniu) i nieakcentowanej. Dołączył się rym, już jako czynnik ważny, choć nie zasadniczy, ale dla szeregu narodów nabrał charakteru czegoś prawie niezbędnego. Ten system metryczny przyjęły szybko Prowancja, Włochy i Francja, a panowanie łaciny narzuciło go wkrótce całej Europie. Tu i ówdzie zresztą działa raczej poezja języków narodowych tych krajów. Nie obeszło się bez walki z rodzimemi systemami metrycznemi, szczególnie u narodów germańskich.

U tych panowały akcent i aliteracja. Stary wiersz anglosaksoński ma stałą ilość akcentów przy dowolnej ilości zgłosek nieakcentowych. W swej pierwotnej formie nie zna rymu, któremu odpowiada aliteracja. Podbój normandzki zadał cios tej metryce, która jednak nie zniknęła bez śladu. Skłonność do aliteracji pozostała Anglikom po dzień dzisiejszy. Naogół przyjęto rym, ale niezawsze skrupulatnie liczono zgłoski, pozbawione akcentu. Na dowód wystarczy przeczytać pierwszą lepszą ze starszych ballad ludowych. Jeszcze za Elżbiety istniał wiersz, zwany *poulter's measure*, a więc „miarą handlarza drobiu", który sprzedawał jaja na tuziny, liczące 12 sztuk dużych lub 14 małych. Tak samo tu kojarzył się dwunastozgłoskowiec z czternastozgłoskowcem.

Odrodzenie wzmogło żywotność wzorów klasycznych — i pierwsi Włosi, naśladując starożytnych, wprowadzili w dramacie t. zw. *versi sciolti*, ze stałych stóp jambicznych, ale nie rymowane. Zaczęto ich potem używać i w epice. Prawdopodobnie pod wpływem Luigi'ego Allamani'ego, Włocha, który dłuższy czas spędził w Paryżu, na dworze Franciszka I, wprowadził tę formę Henryk hr. Surrey w swym częściowym przekładzie „Eneidy". Stąd dostała się do dramatu angielskiego, aby jako *blankverse* stać się najulubieńszą zapewne szatą poezji angielskiej.

Próba udała się świetnie, ale dlaczego? Dlatego, że znalazła oparcie w tradycji rodzimej, w owym wierszu anglosaksońskim, nie zupełnie wykorzenionym przez niosących łacińsko-francuską kulturę Normanów. Pierwsi pionierzy wiersza białego trzymają się niewolniczo stałej ilości pięciu jambów, czyli dziesięciu zgłosek, lecz ich następcy czasem opuszczają zgłoski nieakcentowane, a często i coraz częściej dodają takież nadliczbowe, zbliżając się do prastarych wzorów. Ta swoboda stanowi probierz muzykalności wiersza białego i jego zgodności z duchem języka.

Beznadziejnie spalił na panewce drugi eksperyment, przedsięwzięty prawie równocześnie z tamtym, ale pozbawiony związku z tradycją. Fanatycy humanizmu zapragnęli zupełnie upodobnić poezję do starożytnej i wprowadzili metra iloczasowe. Herezji tej uległ w młodości, pod wpływem zarozumiałego pedantaGabrjela Harvey, także największy epik elżbietański Edmund Spenser, ale otrząsnął się z niej i zasłynął wynalezieniem własnej zwrotki, która nad oktawą góruje sztucznością rymów i efektem z zakresu rytmu akcentowego. Harvey zaś znany jest dziś tylko jako ofiara złośliwej satyry Tomasza Nashe'a. Rozgniewany czemś innem, Nashe parodjował niezdarne heksametry Gabrjela, a o nim samym twierdził, że zawdzięcza życie inkubusowi, który nawiedzał jego matkę pod postacią flaszki atramentu. Wstręt do rymu i chęć do eksperymentowania (tylko już ze stopami akcentowemi, nie iloczasowemi) cechuje bardzo wybitnego liryka elżbietańskiego, Campiona. On jeden — poza wierszem białym t. j. pięciostopowym jambem — przełamał nieczułość angielskiego ucha na nierymowane metra w stylu klasycznym. Nie można tego powiedzieć o mistrzu *blankverse* Miltonie, którego nierymowane chóry w „Samsonie Zapaśniku" nawet znawcy nazywają dziwacznemi. Robiono później różne próby, ale udawały się one tylko o tyle, o ile zahaczały o tradycję. Heksametr Soukey'a jest śmieszny, heksametr Swinburne'a zyskał tylko *succès d'estime* (szczęśliwiej już poszło Amerykaninowi Longfellow'owi). Krytycy czasem chwalili, ogół pozostawał zawsze chłodny, bo poprostu nie odczuwał wiersza.

Natomiast entuzjazm wywołał romantyk Coleridge, wskrzeszając w „Krystabeli" (zresztą rymowanej) starą zasadę liczenia tylko zgłosek akcentowanych i używając t. zw. wiersza czterotaktowego (nie czterostopowego!). Lecz i na tym przykładzie można stwierdzić, że inowacja zwykle udaje się jako wyjątek, a nie przyjmuje się jako reguła. Naśladował Coleridge'a (jeszcze przed pojawieniem się „Krystabeli" w druku) Walter Scott w „Rapsodzie ostatniego minstrela", ale niedługo wytrwał w zamiarze. Już w dalszych partjach tego poematu wpada wyraźnie w ośmiozgłoskowiec, złożony z czterech jambów, z rzadko pojawiającemi się zgłoskami nadliczbowemi. Używa go też w dalszych poematach i przekazuje swemu następcy, Byronowi.

W rytmiczną prozę ujmuje poetycką treść Amerykanin Walt Whitman, ale tu ma za sobą znów tradycję Biblji, którą narody anglosaskie umiały na pamięć.

Przyjrzyjmy się teraz niemieckiemu eksperymentowi z połowy XVIII w., wspomnianemu przez p. Grzegorczyka. Wiersz biały przyjął się na tym terenie łatwo — przecież i Niemcy mieli u siebie tradycję podobnego do anglosaskiego wiersza. Pod jego wpływem rozwinęła się też właściwa ich metryce mieszanina jambów i anapestów (odczuwanych, jakby ta sama stopa). Inaczej było z forsowanemi od połowy w. XVIII metrami klasycznemi. Kto dziś poza zawodowymi historykami literatury czyta ody Klopstocka? Przebrzmiały i heksametry „Messjady", a nawet heksametry Goethe'go i Schiller'a osądził jedyny Niemiec, który naprawdę władał tą formą, tłumacz Homera Voss w sławym dystychu (czytać należy wedle podanych akcentów):

„In Weimar und Jena macht man Heksameter nach diesen,
Doch die Pentameter die sind noch excellenter".

Nie ręczę za ścisłość cytatu, bo każdy inaczej przytacza tę wycieczkę przeciw olimpijczykom. Z tego, co napisali oni heksametrami, żyje dziś właściwie tylko „Herman i Dorota" — ale napewno nie dzięki formie. I Arno Holz, który próbował przeszczepienia na grunt niemiecki francuskiego *vers libre*, niewiele wskórał, a jego naśladowców wykpiwano, że piszą *„in der hölzernen Manier"* („manjerą Holza" lub „manjerą drewnianą").

Vers libre do dziś dnia istnieje we Francji, ale nie zdobył zbytniej popularności. Natomiast — o ile mi wiadomo — nie próbowano wogóle naśladować wiersza białego Szekspira i tłumaczono jego dramaty prozą. Było to wyrazem świadomości, że obca forma nie może liczyć na odczucie i odpowiednią reakcję.

Czego to wszystko dowodzi? Że poetom wolno robić eksperymenta, ale na własne ryzyko. Płacą za to często niepopularnością utworów, które, napisane w innej formie, mogłyby spotkać się z przyjęciem lub, o ile zdobyły rozgłos, zachować go na zawsze. Bo rozstrzyga stale czytający poezje ogół, nie poeci, ani teoretycy wierszowania. Czasem uda się próba, ale zwykle tylko wtedy, gdy nie zrywa ona zupełnie z tradycją, a choć oddala się od niej, to przecież ma z nią punkty styczne.

Asonans pojawia się w francuskiej „Pieśni o Rolandzie" i wczesnej epice francuskiej (ale obok przeważającego w niej rymu), pojawia się też w hiszpańskich pieśniach o Cydzie. We Francji ulega rymowi, w Hiszpanji utrzymuje się jako forma z nim równouprawniona. Jest widocznie zgodny z duchem języka, bo pojawia się nawet w prozie. Zdobi np. obficie biskupa Guerary *„El Relox de Principes"* („Kompas dla książąt" t. j. żywot Marka Aurelego). Gdy sławną tę książkę tłumaczono na angielski, a John Lyly próbował w jej przeróbce, obficie uzupełnionej i własnemi dodatkami i z innych źródeł, stworzyć ozdobny styl prozaiczny, nie usiłowano naśladować mechanicznie asonancyj. Wiedziano, że nie spotkałyby się one u Anglików z pożądaną reakcją. Poszukano tedy czegoś bardziej swojskiego. Sztucznym formom wracających wedle pewnych wzorów asonansów odpowiadają tak samo ułożone aliteracje.

Były naturalnie i gdzieindziej eksperymenty asonansowe. Niemcy postępowali tu bardzo racjonalnie, bo puszczali się na nie w przeróbkach z hiszpańskiego i w balladowych opracowaniach motywów hiszpańskich, więc dla uzyskania kolorytu. Nigdzie nie osiągnięto zbyt świetnych wyników

Atoli „asonans", forsowany dziś w naszej poezji, nie przyszedł wcale z Hiszpanji. Jest to niekompletny rym rosyjski. W poezji rosyjskiej właściwie tylko męskie rymy są pełne, żeńskie zbliżają się do asonansu, ponieważ w nieakcentowanych sylabach samogłoski wymawia się dowolnie (np. a lub o). Praktykę uzasadnia tam duch języka, u nas jest inaczej, nasze samogłoski nieakcentowane mają swą wyraźną barwę fonetyczną. Jest rzeczą charakterystyczną to szukanie wzorów na wschodzie, któremu myśmy zawsze nieśli kulturę zachodnią.

Nie sądzę, ażeby pierwsi, którzy podjęli eksperyment, zrobili to dla ułatwienia sobie pisania wierszem. Raczej odegrał u nich rolę głód nowości (a u niektórych sympatje do wszystkiego, co jest za naszą wschodnią granicą). Znaleźli wcale liczny zastęp naśladowców, między którymi są niewątpliwie tacy, którzy nie chcą wysilać się na rymy — zwłaszcza, że dzisiaj lada jaki rym nie ma wartości obiegowej. Są to albo początkujący, albo ludzie krwi nie polskiej, którzy jednak pragną być polskimi poetami. Od tradycji najłatwiej odstąpić temu, co jej nie odczuwa. Wtedy, zaiste, ofiara nie jest zbyt bolesna.

Zwolennicy asonansu muszą wyzbyć się dwu złudzeń. Po pierwsze, nowa, modna forma nie zastąpi nigdy walorów wewnętrznych — silnego uczucia, polotu, głębokiej, a szlachetnej myśli, oryginalnego (a nie dziwacznego) obrazowania. Po drugie, poklask pięknoduchów, zasuggestjonowanych nowością, a tembardziej wzajemna adoracja o niczem nie świadczy. O powodzeniu eksperymentu rozstrzyga ogół ludzi, interesujących się poezją — i to nie jedno pokolenie. Co dziś pozdrawia się, jako rewelację, czasem za lat dziesięć, piętnaście, dwadzieścia wyśmiewa się lub składa w muzeum osobliwości.

Uważam za nieporozumienie zestawianie asonansów z dysonansem w muzyce, nie pojmuję też, jak można je pogodzić z nazwą rymu niepełnego. Przecież dysonans to coś, co wyłamuje się z harmonji i gwałtownie ją zakłóca. Można nim wywołać pewien efekt. Jeżeli harmonją w wierszu jest rym, to asonans jej nie burzy, lecz tylko ją zmniejsza.

Po tych uwagach spróbujmy postawić asonansowi horoskop. W swej czystej formie polega on tylko na identyczności samogłosek akcentowanych na końcu poszczególnych wierszy. Nie sądzę, aby ta forma miała u nas widoki przyjęcia się, gdyż Polak jej poprostu nie odczuwa. Natomiast mają za sobą tradycję rymy niedoskonałe, do dziś dnia istniejące w poezji ludowej. Pojawiały się one, rzadko zresztą, nawet u największych poetów (np. w trzeciej części „Dziadów": Belzebub — nie gub). Te mogą, dzięki dzisiejszej modzie, zyskać częstsze zastosowanie — zwłaszcza tam, gdzie tok wiersza ma być swobodny, więc w djalogu dramatycznym lub w opowiadaniu. W przekładach Miłaszewskiego nie rażą takie zakończenia odpowiadających sobie wierszy, jak: w głowie — człowiek; koła — zawołał. Trzeba tylko zaznaczyć, że słuchacz przedstawienia odczuwa je jako rymy. To może się utrzymać.

W liryce natomiast, tam, gdzie jest wyraźna, regularnie powracająca zwrotka, nie rokuję rymowi niepełnemu wielkiej przyszłości. Raczej może on przyjąć się — w umiarkowanem zastosowaniu — w wierszu dytyrambicznym, złożonym z jednostek rytmicznych różnej długości i budowy.

O tem, żeby wyparł rym, można marzyć, ale napewno pozostanie to w sferze marzeń. Należy do dziecinnej psychiki naszych czasów, — którą jednak nie każdy dzieli, — że chce się przewracać do góry nogami to, co zbudowały wieki, a za najlepsze uważa się wszystko, co nowe. Ale psychika ta przeważa u góry, między pięknoduchami, a tu będzie rozstrzygał t. zw. „szary człowiek".

Z p. Pieńkowskim zgadzam się, że rytm i rym to dwa skrzydła poezji polskiej. Można próbować nowych rytmów i niepełnych rymów. Ale o ilebyśmy jedno i drugie odrzucili, jak dziś czynią niektórzy, zostałaby — proza. Może „proza na szczudłach", jak wyraża się Pope, ale tylko proza.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

NA WIDOWNI

„To i owo" Bolesława Prusa. — O tem, jak Prus zwalczył Głowackiego. — Publicysta i artysta. — Filtuś, człowiek i społeczeństwo. — Powstanie i reakcja przeciw romantyzmowi. — Miłość i socjologja. — Systemy, artyzm i życie.

PIERWSZY tom ogólnego zbioru pism literackich Bolesława Prusa (wydawnictwo Gebethnera i Wolffa) zasługuje na recenzję jako nowość. Komuż bowiem znana jest wiązanka pierwocin fejletonowych tego autora p. t. „To i owo"? Pochodzą one z lat 1872 — 1873, z przed 60 lat. Zaglądamy przez nie w głębię XIX wieku. Bolesław Prus miał wtedy lat 25. Poczynał karjerę pisarską, wypływał na widnokrąg życia umysłowego Warszawy.

Syn oficjalisty rolnego z Lubelszczyzny znalazł się tutaj w poszukiwaniu dla siebie drogi do źródeł wiedzy. Jak sam potem wyznawał, „chorował na matematykę i filozofję". Zawadził o instytut w Puławach; po kilku miesiącach wyproszono go stamtąd z powodu złego zachowania się wobec zwierzchności. Pracował w fabryce, był bezrobotnym inteligentem, ocierającym się o rówieśników ze Szkoły Głównej (Ochorowicz, Doliński), wogóle miał wszystkie warunki po temu, żeby się zmarnować. Na powierzchni utrzymywał go prąd ideowy pracy społecznej. Zanim jął się pisania, był już działaczem oświatowym. Z młodzieżą ze Szkoły Głównej stawał w szeregu prelegentów, aby wykładać rzemieślnikom w Warszawie i Lublinie elementy wiedzy o życiu.

Pisywać zaczął dla zarobku, zrazu nieśmiało bez podpisu (w „Opiekunie Domowym"), jako rzecznik ideałów kultury, mającej na celu solidne zorganizowanie człowieka pracy i pracowitego społeczeństwa. W tym oto pierwszym tomie mamy dwa takie artykuły, w których autor zużytkował pewno swoje niedawne wykłady: „o złudzeniach w życiu" i „o badaniu życia codziennego". Trzeba zapamiętać te tematy — one są programem Prusa, przez całe życie opracowywanym w publicystyce i w powieściach...

Ale tu właśnie, na terenie tego tomiku „To owo" rozgrywa się bardzo ciekawy proces w duszy Prusa. Zasadą tej duszy, jak to widać od pierwszych słów, jest wielka miłość. W stosunku do społeczeństwa, które chce zbawiać, instynkt nakazuje mu szukać drogi do serca „publiczności". Po tem poznaje się temperament pisarski twórczy, że pisarz usiłuje wynaleźć punkt kongenjalności ze środowiskiem. Każdy inny stosunek do społeczeństwa jest grafomaństwem lub zarobkowaniem cynicznem. Pisarz wierzy w społeczeństwo, nie daje się zbić z tropu jego obojętnością i surowością; wierzy w jego instynkty, które drzemią, ale jak do nich trafić? Jak trafić do serca Warszawy? — oto pytanie do dziś aktualne.

Ludzie wnikliwi ówczesnego pokolenia, nad miarę zmaltretowanego po upadku powstania, wykryli, że jednak najlepiej duszę mazura koi — humor. Nie tyle w tem dowód lekkoduszności, ile żywotności. Popularnością cieszyły się pisma humorystyczne: „Kolce", „Mucha", „Kurjer Świąteczny". Prusa tędy instynkt pociągnął, ale nie bez pewnego dramatu. Żeby tędy pójść przez pewien rodzaj beletrystyki, trzeba sięgnąć do duszy po talent artystyczny, a przecież on, pozytywista, na rozumy miał walczyć — racjonalizmem, logiką, matematyką. Więc kapitulować? Pójść na drogę poetyki, której się wojnę wypowiedziało? Czyż nigdy dusza polska nie wyzwoli się z pierwotności, do której tylko kunsztem słowa przez uczuciowość dostać się można? Walczył tedy Aleksander Głowacki z sobą, zaczęło w nim borykać się dwu ludzi: artysta i działacz. Tem cięższy był spór, że przedewszystkiem był artystą, ale do tego nie chciał się przyznać nawet przed sobą. Pierwszym popędem było zabić w sobie artystę. Widocznie coś się buntowało przeciwko temu, bo zamiar ten (niewykonalny zresztą) Głowacki odkładał i zaczął wchodzić z sobą w kompromis. I kwestja zarobku musiała mieć tutaj swoje znaczenie. Dość, że zaczął pisywać do pism humorystycznych. Ale wstydził się tego i dlatego ukrył się pod pseudonim „Bolesława Prusa".

Było odtąd dwu pisarzy: Głowacki i Prus. Pierwszy miał być programowo publicystą serjo, moralistą i działaczem, napierającym na rozum, a przez niego na wolę; drugi miał bawić, a więc mógł folgować swej wyobraźni i uczuciu. Zapewne i *ridendo* można *castigare mores*, to i owo przemycić... Zresztą humorystyka, choćby wierszowana, toć jeszcze nie poezja — niema tu nic hańbiącego. Tak się pocieszał.

Cóż się jednak pokazało? Pisarz przestaje być wolnym, odkąd posiądzie serca czytelników. „Chwycił kozak tatarzyna, a tatarzyn za łeb trzyma". Głowacki nie mógł się utrzymać na fali wobec Prusa. Im zajadlej zwalczał w sobie Prusa, tem widoczniej publiczność brała stronę tej ofiary, stającej się zwycięzcą. Daremnie potem, przez całe życie, pisarz ten wstydził się swego artyzmu i swojej poezji; na wyżyny dźwigał go Prus artysta. Kapitulacja Głowackiego formalna nastąpiła szybko. „Kurjer Warszawski" Szymanowskiego zaangażował do siebie na feljetonistę nie Głowackiego, lecz Prusa. Odtąd znikło w literaturze nazwisko, pozostał zwycięski pseudonim. Nie można się już było konspirować.

Całą tę historję mamy jak na dłoni, w tym pierwszym tomie pism Prusa. Przyczyny konfliktu jednak zostały — były bardzo głębokie, sięgające w ustrój pisarza. Wczytajmy się w byle błahostkę rymowaną w „To i owo", a zobaczymy inne jeszcze przeciwieństwa, pięknie wysiłkiem twórczego serca harmonizowane. Czy nie widzicie, jak humor Prusa, napozór arlekiński, dziwnie melancholijną ma duszę? Talent przenikliwego widzenia oraz filozoficznego zestawiania pozwalał mu widzieć na każdym kroku sprzeczności, a z drugiej strony żywotność duchowa sprawiała, że traktował te sprzeczności na wesoło — ostrzył na nich dowcip. Stąd opinja zawodowego humorysty.

Ale tutaj nowa sprzeczność także w duszy samego pisarza, wyrażająca się w melancholji tego humoru. Umysł był krotochwilny, ale serce było nadmiarę czułe. Każde zjawisko życia, choćby w najmarniejszem stworzeniu, budziło w Prusie tkliwe uczucia, najwrażliwsze zaś to serce było na sprawy życia rodzimego społeczeństwa. Serce bardzo uspołecznione, i wogóle chore (jeśli to choroba) na przerost współczulności z tem, co jest życiem. Ostre widzenie, zamącone sympatją, wytwarza ów humor melancholijny, humor pokry-

wający cierpienie przed cudzym wzrokiem. Prus wstydził się słabości swego serca i tem usilniej nadrabiał je humorem, jakby się śmiał z siebie samego. Weźmy dla przykładu z tego pierwszego tomu taki utwór humorystyczny, jak „Na śmierć Filtusia czworo trenów:“

„Czego tak wicher zawodzi w komnatach
I sechną liście na rozkosznych kwiatach?
Czego tak krwawo zachodzisz na niebie,
Złocisty Febie?“

Autor pragnie rozśmieszyć tym koturnem klasycznym i retoryką nieproporcjonalną do straty, aby choć trochę zrehabilitować się z prawdziwego uczucia w drugiej strofce:

„I mnie samemu z jakowej przyczyny
Łzami zaciemnił oczy smutek srogi?
Ach, to po tobie, piesku mój jedyny
Z krzywemi nogi“...

I tak śmiejąc się, łka w gruncie rzeczy, bo przecież wiemy skądinąd, że Prus potrafił płakać rzewnemi łzami nad zabitym przez żniwiarzy zajączkiem. Opowiadał to Żeromski. Humorystyka Prusa stała na wysokim poziomie literackim. Wogóle nie było w literaturze cynizmu, z którym tak oswoiły nas dzisiaj wyroby umysłowości semickiej, której wszelki sentyment jest obcy.

Gdy Prus „opiewa piękności wiejskiej przechadzki w porze wiosennej“, przedrzeźniając sentymentalność Karpińskiego, czy Brodzińskiego, to przed oczyma staje nam subjekt Rzecki z „Lalki“, śpiewający czule przy wtórze gitary. Niema takiego rysu w drobiazgach z cyklu „To i owo“, któregobyśmy nie odnaleźli potem w dojrzałych utworach Prusa. Są to krople żywej krwi z życia społeczeństwa, krwi, którą Prus od młodości poddawał analizie. To był wielki sanator w prawdziwem tego słowa znaczeniu. Naczelną jego ideą było leczenie organiczne społeczeństwa; to była oś krystalizacyjna całej jego twórczości zarówno literackiej, jak i publicystycznej.

Ta idea zadecydowała o jego wielkości, ale i to, co słabością jego bywało, z niej także wynikało. Nieraz się śmiano z jego „manji“, nawet nią gorszono. Nie ulega kwestji, że Prus był w niewoli tej idei, jakby nią opętany. Co to było? To była owa „choroba na Polskę“, choroba, którą dotknięta była literatura XIX wieku — od Woronicza do Wyspiańskiego. Chorował tak Mickiewicz, chorował Kraszewski i Żeromski, chorowali poeci, historycy i filozofowie. Nie ocalałaby Polska, gdyby nie „chorowała“ na nią literatura.

Jeśli zaś chodzi nie o to ogólne stwierdzenie zjawiska, lecz o zbadanie indywidualne danego pisarza, to trzeba sięgnąć do biografji. Każde takie badanie biograficzne staje się zarazem przyczynkiem do studjum nad duszą społeczeństwa. Boć pisarz — to krew narodu; na tę samą troskę całe społeczeństwo choruje; on tylko widmo tego kompleksu psychicznego zdolny jest rzucić na ekran, podczas gdy ogół cierpi nieraz nieświadomie.

W fejletonach Prusa z r. 1872 widzimy, że ma już te same troski o społeczeństwo polskie, co w „Placówce“ potem, w „Lalce“, w „Faraonie“, w „Dzieciach“ i które coraz dobitniej w fejletonach na język polityczny przekłada. To nastawienie ideowe, nazywane manjactwem, datuje się od lat młodzieńczych, mianowicie od powstania w r. 1863, w którem jako gimnazjalista brał udział. Oczywiście, dziedzictwo troski polskiej przejął od p-e przednich pokoleń, od tych romantycznych, któwo wydały na świat Mickiewicza. To samo dziedziczył współziomek Prusa z Lubelszczyzny, Jan Popławski, o siedm lat od niego młodszy.

Jest to podłoże ogólne, osobiście zaś utrwalją się takie widzenia stosunku do świata, jako śluby duszy z losem, w drodze jakiegoś wstrząsu. Takim momentem była przygoda młodzieńca w lasach pod Łukowem, która ukazała wrażliwej duszy artystycznej prawdę nagą, mianowicie jak nieproporcjonalny zachodzi stosunek między siłami polskiemi a zamierzeniami. Jako reakcja nastąpił bunprzeciwko przykazaniu romantycznemu: „Mierz siłły na zamiary“. Zrozumiał, że Polska bez zorganizowania uprzedniego duszy w jednostkach i urządzeniach społecznych nie odzyska niepodległości, że przekleństwem jej stała się wiara w moc marzeń i chwilowego zapału, że robić trzeba Polskę od początku, od człowieka, od elementarza społecznego.

Jeżeli przeczytamy uważnie zamieszczone w „To i owo“ „Listy ze starego obozu“, to spostrzeżemy, że Prus jako moralizator jednostki, w jednostce widział całe społeczeństwo i na nią przenosił wszystko, co chciałby powiedzieć narodowi tytułem wskazania politycznego. Leżało to w ówczesnem pojmowaniu praw życia zbiorowego („czyń każdy w swojem kółku“ itd.) i było zupełnie cenzuralne. Tutabył Prus reformatorem, ale z drugiej strony rysem zasadniczym jego pedagogiki, odpowiadającym zasadzie doświadczenia pozytywnego, był nakaz poczucia rzeczywistości, nakaz walki ze złudzeniem, do którego pochop dają zarówno marzenia, jak i popęd do „wielkich teoryj“. Badaj rzeczywistość w sobie i w otoczeniu!—oto przykazanie Prusa. Tutaj Prus artysta łapał w potrzask Głowackiego pedagoga.

Idąc bowiem za tym nakazem, jak widzimy w tych „Listach“, uczył przykładami konkretnemi z życia, układał prawdę w mozajki faktów. Ale każdy fakt w opowiadaniu przeradzał mu się w klejnot beletrystyki. Im więcej faktów zbierał, tem dalej brnął w beletrystykę i stawał się artystą. Taki już był jego los.

Jednocześnie zaś dochodził do wspaniałych odkryć socjologicznych. Bo mylą się ci, którzy Prusa chcą odtworzyć jedynie z poglądów jego i trosk w zakresie spraw ogólnie kulturalnych, socjalnych czy gospodarczych — do socjologji życia polskiego wprowadzał on czynnik irracjonalny serca, który społeczeństwu nadaje postawę osobowości narodowej i sens historyczny. Dynamika jego uczuć miała głębokie źródło w patrjotyzmie. Mylą się także, mojem zdaniem, krytycy, wychodzący z założenia, że Prus z systemów filozoficznych, modnych wówczas, brał zachętę do studjów nad człowiekiem i społeczeństwem. Iluż to ludzi współcześnie teorje te studjowało, a rezultaty były jałowe. Inaczej było: Prus miał swoje własne jasnowidzenie, które się zrodziło z głębokiego przeżycia prawdy. Żeby tę prawdę uzasadnić dla siebie i dla innych, szukał dla niej poparcia i systemu w nauce, prawda jego jednak była żywa, nie książkowa, a dowód leży w tem, że jednocześnie była prawdą artystyczną. Znajdźcież artystę, którýby się z książki rodził!

Prus do książki szedł jeno po rynsztunek, ale na rycerza pasowało go życie.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

„ROZMOWY GENEWSKIE NIE DOPROWADZIŁY DO ZBLIŻENIA POLSKO-FRANCUSKIEGO". Podobne nagłówki, choćby drukowane przez prasę grubemi literami, zaledwie zdolne są zwrócić pobieżną uwagę pochłaniających gazety czytelników. Nadspodziewanie prędko oswoiliśmy się z tą sytuacją, że do zbliżenia polsko-francuskiego tak niesłychanie jakoś trudno doprowadzić... Nie leży widać ono w naturze rzeczy. Stanowczo zaś przekracza siły kuszących się o nie nadaremno dyplomatów. Ta ostatnia przyczyna niepowodzeń jest prawdopodobnie najważniejsza. Dyplomaci nie ponoszą wprawdzie samoistnej odpowiedzialności za decyzje, zazwyczaj są jedynie wykonawcami. Ale wykonanie powierzonych im trudnych zadań może być mniej lub więcej szczęśliwe.

Co do pojmowania zadań bowiem niema przecież w opinji polskiej zasadniczych rozbieżności. Polska musi szukać oparcia w sojuszu z Francją, jeśli wogóle ma prowadzić politykę sojuszów — a wyrzec się polityki tej nie może. Sojusz z Francją—to zatem konieczność, ale nie wynika z tego wcale, aby Polska nie miała dążyć jednocześnie do jaknajtrwalej unormowanych stosunków także z Niemcami. Przeciwnie, uznawać musi jednoczesny rozwój normalnego współżycia z tym sąsiadem za możliwy i bardzo pożądany. Na tych też mniejwięcej zasadach opiera się oficjalna polityka polska, układając stosunki nasze z Niemcami i Francją. Jeśli ułożenie ich w praktyce zawodzi, to nie wina koncepcji, w zasadzie prawidłowej, lecz — najwidoczniej — wina wykonania.

Opinja polska orjentuje się do pewnego stopnia w tem, jakie trudności—w rozumieniu oficjalnych kierowników polityki polskiej—stworzył projekt t. zw. paktu wschodniego. Naszem zdaniem, coprawda, trudności te nie zostały nigdy poddane w prasie dostatecznie przenikliwej i ścisłej analizie. W rezultacie nie zostało więc dotąd w dyskusji publicznej wyjaśnione: 1) co Polska straciłaby w razie przystąpienia do paktu, 2) czy strata byłaby cięższa, niż ta, która wynikła z nadwyrężenia międzysojuszniczego zaufania. Sprawa ta, wielkiego znaczenia, nie została — powtarzamy — przed opinją polską należycie wyświetlona.

Z drugiej strony pamiętać należy, że minister spraw zagranicznych jest w obecnych naszych stosunkach raczej formalnym kierownikiem polityki zagranicznej i podlega najściślej poleceniom jej kierownika rzeczywistego. Jest — z natury rzeczy—przedewszystkiem wykonawcą. Nie podajemy w wątpliwość jego gorliwości. Niewątpliwie od samego początku nieporozumień, które zamąciły zaufanie w stosunkach międzysojuszniczych polsko-francuskich, pilnie spełniał to, co miał zadane, skrupulatnie referował, powtarzał i odczytywał. Trudno jednakże oprzeć się przeświadczeniu, że postulaty naszej polityki w stosunku do Francji lepiej byłyby urzeczywistnione, gdyby reprezentowanie Polski w rokowaniach nie było powierzone talentowi tak wyłącznie wykonawczemu...

GENERAŁ WEYGAND

WICEPREZYDENT najwyższej rady wojennej Francji, generał Weygand, wskutek przekroczenia granicy wieku, ustąpił ze stanowiska, na którem pozostawał pięć lat, nie potrzebujemy dodawać—z największym pożytkiem obrony narodowej.

Kto miał sposobność — nie znając nawet dokładniej jego czynów — zetknąć się z tym znakomitym żołnierzem podczas jego pobytu w Polsce (1920 r.), ten napewno odniósł wrażenie, że ma przed sobą jednostkę o wysokich wartościach umysłowych i moralnych.

Ten skromny z wyglądu oficer, z którego oczu tylko biła niepospolita inteligencja, swoją postawą oraz sposobem bycia niczem nie zdradzał tego zasobu niezłomnej woli i siły moralnej, których dowody złożył nietylko podczas wielkiej wojny, jako najbliższy współpracownik marszałka Focha, lecz i w okresie powojennym, w którym wypadło mu, już samodzielnie, borykać się z nieustannym naciskiem głupstwa demokratycznego (redukcja czasu służby, zmniejszenie ilości armji stałej i t. p.) na sprawę obrony kraju.

Może właśnie dlatego, że głupstwu temu nie ulegał, i o ile to było w jego mocy, paraliżował skutki w zakresie wojskowym, nie znalazło się dla niego,—słowem dla jednego z tych, „którzy nas uratowali", jak się wyrażają o wielkich wodzach swoich przeciętni obywatele Francji — miejsca w Najwyższej Radzie Wojennej, w której zasiadają znacznie starsi od niego. (Marszałek Franchet d'Esperey ma 78 lat, marszałek Pétain może więcej).

Odchodzącemu w zacisze domowe, po pięćdziesięciu latach służby krajowi, składano z wielu stron (prasa, organizacje kombatantów, minister obrony krajowej i t. p.) gorące wyrazy uznania dla jego pracy i podziwu dla jego osoby, a w rozkazie dziennym do armji powiedziano, że wskutek czynów swoich umieścił się „wśród wielkich sług kraju".

Mimo to, wolano go mieć dzisiaj, w czasach niepokoju powszechnego i groźnych chmur, zawieszonych nad jego krajem, właśnie poza „służbą" dla niego.

Nic w tem dziwnego, zgodne to bowiem zupełnie z logiką triumfującego wciąż w trzeciej Rzeczypospolitej głupstwa demokratycznego i, wypływającej z niego, polityki „wolnościowej"—jakby powiedziano u nas.

Ustępując ze stanowiska swego, miał sposobność generał Weygand położyć nacisk na to, czem, jakiemi zasadami rządził się w życiu, co było jego ideą przewodnią. Na zapytanie wywiadowcy z „*Journal*'a" — co sądzi o czasach, w których żyjemy?— odpowiedział temi słowy:

„Są one cokolwiek niepokojące. Mamy dużo ludzi inteligentnych, wielu utalentowanych. Być może to jest najgorsze, gdyż oni kierują opinją. Ludzie inteligentni, albo, jeśli pan woli, intelektualiści, całą inteligencję swoją zużywają na badanie. Życie ich jest ankietą, a bilans jego wyraża się jednem słowem: wątpienie. Być może, jest rzeczą ciekawą wątpić, sądzę nawet, że nie jest bez pożytku, gdy kraj posiada ludzi oddanych wątpieniu. Ale nie zanadto. Nie należy, by wszys-

cy wątpili, gdyż to odbija się straszliwie na kraju. Filozofja jest jedną sprawą, życie jest inną. Podziwiam filozofów. Są filozofowie, są też ludzie czynu: podział pracy. Życie jednak, sądzę, jest pożyteczniejsze dla narodów od filozofji; po to zaś, by żyć, kraj wymaga, żeby jednostki wybrały jakąś doktrynę, trzymały się jej, przyjęły stałą regułę i rozkaz. Co do mnie wybrałem taką, narzuciłem sobie dyscyplinę: służyć. Służyłem całe życie. Najpewniej dlatego, iż to wybrałem, niektórzy znajdują, że jestem ograniczony. Przed tym, który nie wybiera, otwiera się horyzont bez granic...“

Otóż to: przed Briand'ami, Paul Boncour'ami i t. p. politykami trzeciej Respubliki — otwieraly się wciąż horyzonty nieograniczone, w których gubiła się ich myśl „wolnościowa“, nie decydująca się na wybór stałej reguły, unikająca nakazu sumienia i zdrowego sensu.

Jak na tem wychodziła Francja—dzisiaj bije to wszystkim w oczy: traciła, jeden po drugim, wszystkie atuty, jakie zostały jej politykom włożone w ręce przez zwycięzców w wielkiej wojnie, przez tych, których horyzont był ograniczony wyborem idei przewodniej całego życia, przez — Fochów, Pétain'ów, Mangin'ów, Weygand'ów, wielkich wodzów i wielkich Francuzów.

Jeden z nich, kończąc swoją zaszczytną „służbę“—w powyższych, jasnych słowach, w których dźwięczy nuta subtelnej ironji, przestrzega raz jeszcze kraj swój przed tem, co było przyczyną jego niepowodzeń, co stawia wciąż jego przyszłość pod znakiem niepewności i nieustannego niepokoju.

W. J.

NAUKA i LITERATURA

KSIĄŻKA O PADEREWSKIM

AUTOR obszernej plotki o Piłsudskim w języku angielskim, wydał przed rokiem w tymże języku plotkę o Paderewskim. Obecnie udostępniono ją czytelnikom naszym w przekładzie polskim. Efektowny tom, ozdobnie wydany i opatrzony ilustracjami, ukazał się nakładem firmy J. Przeworskiego. Tłumaczenie p. J. B. Rychlińskiego, który nie mistrzowską bynajmniej prozę angielską odtworzył w nieudolnej polszczyźnie.

Z rynku wydawniczego angielskiego towar ten dostał się zatem na rynek polski. Na plotce drukowanej trudniej u nas zrobić interes, niż na zachodzie Europy. Nie stała się u nas tak wziętym i tak udoskonalonym rodzajem literackim, jak w tamtych krajach. Plotkujemy dużo, ale ustnie, w słowie zaś drukowanem jesteśmy nałogowo uroczyści. I z tego także względu dla żydków, piszących *„biographies romancées“*, nie jesteśmy narazie rynkiem zbyt pociągającym, póki reklama tego stanu rzeczy nie zmieni.

Co innego Anglja, gdzie i czytelnictwo jest większe i popyt na plotkę w postaci książkowej ustalony. P. Rom Landau, jak wspomnieliśmy, wszedł na rynek angielski książką o Piłsudskim. Piszącemu te słowa wpadła do ręki w Anglji. Pamiętam dobrze nieprzyjemne wrażenie tej lektury. Przypuszczam, że dla piłsudczyka książka byłaby jeszcze przykrzejsza. Autor upozował się na zachodniego Europejczyka, nie mającego ze Wschodem nic wspólnego. Wydziwia Polskę, jako kraj egzotycznej awantury, najwięcej zaś wydziwia centralnego bohatera, którego przedstawia, jako wręcz nieprawdopodobną, groteskową postać. To zachodnio-europejskie spojrzenie semickich oczu spodobało się jakoś naszej propagandzie, która książką przez pewien czas popisywała się przed Anglikami.

Już w tej pierwszej *„biographie romancée“* p. Rom Landau skontrastował Piłsudskiego z uosobieniem zachodnio-europejskiej manjery umysłowej — Paderewskim. Z kolei Paderewskiego wziął za bohatera. Czegoż nie mamy w tej nowej biografji! Komiwojażer literacki rozkłada przed nami swój towar po kawałku. Jest o muzyce i jest o polityce, jakby autor miał coś do powiedzenia o jednem i o drugiem. Co chwila asystujemy przy rozmowach, „podsłuchanych“ przez biografa. Nieraz mamy wątpliwości, czy zasłyszał dokładnie. Balfour np. mówi Paderewskiemu w r. 1915 rzeczy, całkiem niezgodne ze swemi ówczesnemi poglądami na sprawę polską (patrz poufny memorjał Balfour'a, ogłoszony w roku zeszłym przez Lloyda George'a w tomie II „Pamiętników“). Już wówczas, rzekomo, deklaruje się, jako niezłomny zwolennik całkowitej niepodległości dla Polski. Czyżby gabinetowi angielskiemu mówił co innego, niż przyjacielowi w rozmowie prywatnej? W memorjale, złożonym rządowi w r. 1916 za najwłaściwsze rozwiązanie uważał włączenie autonomicznej Polski do imperjum rosyjskiego.

Gdzieindziej czytamy wynurzenia Paderewskiego o rasizmie. Przyjmujemy je za wynurzenia p. Landau. Całkiem jakby mówił jakiś ciemny żydek, który wystraszony przewrotem hitlerowskim opuścił Niemcy. Paderewski popełnił nieostrożność, rozmawiając z reporterem, który nie odróżnia ras fizycznych, narodowości i grup językowych. P. Rom Landau znalazł się jednak wśród gości w Rion Bosson.

P. Landau znajduje, iż było naturalnem, że Polska „odepchnęła“ wielkiego Polaka.

Nie zachował taktu w stosunku do spraw sobie obcych.

W. J. C.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Antoni Waśkowski. „Z moich wspomnień o Stanisławie Wyspiańskim“. Miejsce Piastowe 1934. Nakł. Tow. św. Michała Archanioła.

Znany liryk, brat cioteczny Wyspiańskiego (o wiele odeń młodszy), daje ze wspomnień oraz dokumentów rodzinnych garść autentycznych wiadomości o pochodzeniu i latach młodości wielkiego poety. Ojciec Wyspiańskiego, Franciszek, rzeźbiarz, był nałogowym alkoholikiem. Matka, Marja z Rygowskich, którą utracił będąc dzieckiem, pochodziła z bogatej rodziny kupieckiej, o pięknych tradycjach patrycjuszy. Autor wspomnień przytacza różne pozornie błahe zdarzenia, które jednak mogą jakieś, acz dalekie światło rzucić na niektóre motywy twórczości Wyspiańskiego. Ostatni rozdział maluje stosunki Wyspiańskiego pod koniec jego życia, z przyjaciółmi, Adamem Chmielem, a przedewszystkiem Wilhelmem Feldmanem, któremu Wyspiański dużo troskliwości zawdzięczał. Z oryginału, będącego w posiadaniu p. Feldmanowej, przytacza autor oktawę, której początek i koniec zacytuję: „O kocham Kraków— bom nie od kamieni przykrości doznał — lecz od żywych ludzi“. I potem: „Im częściej na mnie kamieniem rzucicie, sami złożycie stos — stanę na szczycie“. Ale jak to było naprawdę z tymi ludźmi? Wyspiański nieraz rzucał słowa wzgardy i oburzenia owemu środowisku („na nic mi wasze łzy te sobacze“ i t. p.) — ale czy słusznie? Czy to nie były objawy nadwrażliwości chorego człowieka? Mnie się zdaje — przynajmniej tak pamiętam z moich wczesnych lat chłopięcych — że u nas w Krakowie nazwisko „Wyspiański“, jeszcze za jego życia, było uroczyste. Ale może jedno drugiemu nie przeszkadza? Może był czczony przez szerszą opinję, a doznawał szykan od bliższych? Byłoby pożądanem wyświetlić tę kwestję, bo ostatecznie jest ciekawą rzeczą wiedzieć, o ile ufać można irytacjom artysty?...—Ciekawym przyczynkiem do kwestji stylu ludowego, jest to, co w liście do A. Chmiela, z r. 1904, mówi: „...tak zwanych leluj nie lubię i nie przyznaję im żadnego znaczenia, choć się niemi Witkiewicz interesuje. Leluja jest to najbanalniejszy okaz i wyraz ornamentu, żadnego rodzimego naszego charakteru nie mający i nie wyrażający“. Wspomnienia te o Wyspiańskim zalecają się prostotą i rzeczowością stylu.

(KLK)

*

„Każde miasto swojego poetę przytula: Mantua Wirgiljusza, Werona Katula“—parafrazował słynne zdanie Owidju-

szowe Odyniec. Niema chyba miasta, któreby nie szczyciło się jakimś poetą. Niesłusznie milczano (w oficjalnej polonistyce) o poezji Torunia. Nie byle kto ją zaczyna, bo sam Kopernik tym autobiograficznym heksametrem: *„Me genuit Thorunna, Cracovia me arte polivit"*. Później Grochowski, Wybicki, Przybyszewski „przytulali się" w Toruniu; napewno było więcej takich pisarzy, którzy w tem mieście oparcie i natchnienie znaleźli.

Zanim ich pozbiera jaki członek Tow. Naukowego w Toruniu i „w księgi zamieści", przeczytać można z przyjemnością rozprawkę dr. T. Mikulskiego „Pieśń ludowa oa Toruniu" (Toruńskie Tow. Nauk.). Rzecz to — podobnie wk poprzednia rozprawia o Zoilach polskich—bardzo uczona, a jednocześnie napisana lekko, potoczyście, pięknym stylem, zz którym znać jakby szkołę Wacława Borowego; znać ją dresztą poniekąd i w temacie pracy. Z zestawień pieśni luqowych z całego niemal obszaru Polski etnograficznej oraz j bystrych uwag autora przekonywamy się, że Toruń był ardzo popularny w poezji ludu polskiego. Przyczyna była może w nazwie tego miasta, brzmiącej „charakterystycznie" żud nasz takie nazwy szczególnie pamięta), a napewno w tem,)e Toruń był ważną przystanią flisacką. Dziś, gdy zamiera już ruch flisacki, wartoby jego tradycje jeszcze pozbierać i upamiętnić, zanim się zatrą doszczętnie. Zbieranie pieśni flisackich już było w swoim czasie podjęte i dało na kartach „Ludu" plon obfity. Szkoda, że Mikulski z plonu tego nie skorzystał, ograniczając się tylko do Kolberga; znalazłby jeszcze parę piosenek o Toruniu, m. in. popularną przed 30 laty pieśń o starych pannach, które żyd pejsaty obwoził po różnych miastach, aż wreszcie „gdy przyjechał do Torunia, wysypał je do pioruna i wyczyścił wóz". — W każdym razie już niewiele możnaby dorzucić nowych szczegułów. Praca Mikulskiego, jak przedtem monografje Sydowa, wzbogacają naszą wiedzę o Toruniu. (J. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

WITOLD PRUSZKOWSKI

Swego czasu niektóre osoby, blisko stojące grupy, która zerwała z Zachętą i przyczyniła się do powstania IPS'u, nie przepuszczały żadnej okazji, by skrytykować takie lub inne posunięcie instytucji z placu Małachowskiego. Sposobność do krytyki dawały między innemi katalogi Zachęty, istotnie nieraz pozostawiające wiele do życzenia.

Od tego czasu dużo wody upłynęło w Wiśle. Katalogi Zachęty uległy gruntownej przemianie. Wydany z okazji wystawy Witolda Pruszkowskiego np., posiada obszerny wstęp, wspomnienia o artyście, skreślone ręką jego syna, daty poszczególnych dzieł, wymiary, określenia techniki — słowem wszystko, co powinno się znaleźć w poważnie opracowanym przewodniku po wystawie, a nadto jeszcze sporo ilustracyj. Natomiast skromniutki katalog IPS'u z okazji wystawy Michałowskiego (jednego z naszych największych malarzy!), nie zawierał nic, oprócz spisu dzieł i krótkiego, zresztą niezbyt potrzebnego posłowia. Takich różnic obecnie, między katalogami IPS'u i Zachęty, na korzyść tej ostatniej, możnaby przytoczyć więcej. Gdzież są niedawni nauczyciele Zachęty? Czemu teraz milczą?

Ale wróćmy lepiej do Pruszkowskiego. Urządzeniem jego wystawy Zachęta znowu dobrze się przysłużyła sprawie pogłębienia wiedzy o polskiej plastyce. Jest to jeden z naszych znakomitych malarzy, znany nam dość powierzchownie i jednostronnie. Najbardziej utrwaliły się w powszechnej pamięci jego obrazy rodzajowe, na tematy „z życia" ludu (popularna „Niedziela Zielna"), potem nastrojowe płótna, osnuta na motywach, zaczerpniętych z poezyj Słowackiego, jak np.: „Eloe", „Śmierć Elenai", oraz inne.

Jeśli pewna mistyczność tych dzieł wynikała niejako z ich treści, to w obrazach na tematy ludowe artysta schodził raczej do codzienności niebezpiecznej, gdyż nieraz graniczącej z banałem. Czyż można bowiem wyobrazić sobie coś, równie grożącego ckliwością, jak pastuszka grającego na fujarce wiejskiej dziewczynie. Jednak Pruszkowski nawet te i temu podobne tematy potrafił przepoić taką jakąś poetyckością, najszlachetniejszego gatunku, nasycić tak delikatnym sentymentem, że te płótna zniewalają nas. Są bardziej przekonywające od dzieł, w których artysta wyraźnie o tą poetyckość się stara, już przez sam wybór zdecydowanie literackiej koncepcji. Do takich prac należy zaliczyć „Gwiazdę spadającą" i „Wiosnę". Ich symbolizm wydaje się nam dziś nieco konwencjonalny i niewątpliwie upodobania epoki na podobnych obrazach Pruszkowskiego wycisnęły swe piętno. W innych był artysta szczerszy i jako poeta i jako plastyk.

Bowiem w tym człowieku łączyły się właściwości, które dziś pragnie się gwałtownie rozdzielić. „Precz z literaturą" — krzyczy wielu współczesnych malarzy, węsząc ją we wszystkiem, co nie jest tylko zespołem barw i kształtów. Zapewne i poetyckość widzenia rzeczy u Pruszkowskiego w takiej nowoczesnej formule trudno będzie umieścić, a przecież ten poeta-plastyk był znakomitym malarzem. Jego dzieła są żywym i świetnym dowodem, że jedno drugiego wcale nie wyklucza. Że można (a może i trzeba?) barwami nietylko o samych barwach mówić, nie czyniąc tem żadnego uszczerbku walorom plastycznym obrazu.

W portretach gdzie treść (literacka) dzieła jest bardziej ograniczona, niż w większych kompozycjach, z natury rzeczyześrodkowują bardziej uwagę wartości malarskie. Tu umiał posłużyć się niemi Pruszkowski w majsterski sposób, znacząc zarazem, przy ich pomocy, z niesłychaną sugestywnością wyraz w twarzach osób portretowanych. To są portrety żywych ludzi, a nie podobizny ludzkiej powłoki cielesnej, które dziś często się zdarza oglądać na wystawach malarstwa.

Już w czystym, choć ciemnym, portrecie pani Fedorowiczowej tkwi wiele zadatków przyszłego majsterstwa i utajonego dyskretnie wyrazu. W „Portrecie matki" mamy wyraźną gamę kolorystyczną, gdzie wygrana jest barwność prawie szarych tonów. Za te dzieło i za samo malowanie sukni nawet, w „Portrecie siostry", godzien jest Witold Pruszkowski miejsca w największych muzeach świata. Jego pociągnięcie pendzlem ma w sobie doskonałość nieomylności, uderzenie artysty trafia w sedno rzeczy. Niema w niem nic z efektu, nawet najszlachetniejszego, to nie popis, a tylko mistrzowski dobór najtrafniejszego plastycznie określenia. Ta pełnia treści malarskiej, ujawniana stosowaniem środków nieodpartych w swej wymowie, a zarazem tak wstrzemięźliwych, nadaje sztuce Pruszkowskiego znamiona arystokratyzmu artystycznego.

Tak się przedstawiają najmniej popularne, dotychczas, i należące zarazem do najlepszych, dzieła artysty. Że nie były one oceniane tak, jak na to zasługują, świadczy o tem możność nabycia ich przez Zbiory Państwowe, które przecież poczęły gromadzić utwory naszej plastyki stosunkowo niedawno, bo dopiero po odzyskaniu niepodległości.

WIKTOR PODOSKI

KORZYŚCI Z POLEMIKI

JAKŻE miło mieć do czynienia z wytrawnym i doświadczonym polemistą! Pan Stanisław Pieńkowski w dwóch artykułach p. t. „Nie u siebie" („Myśl Narodowa" nr. 2 i 3 z b. m.), replikował na skromny mój artykulik o asonansach („Myśl Narodowa" nr. 55 z ub. r.). Cóż za bogactwo myśli, jaki wysoki poziom dyskusji, jaka gentlemańska lojalność w stosunku do przeciwnika! Obdarza się go hojnie tytułami: to „uczony" (nic łatwiejszego, jak w ten sposób zostać w Polsce uczonym!), to „biblofil" (zapewne chodziło o: bibljofila), — a przytem powiada się mu tak wprost: że posługuje się „moralnością murzyńską" (biedni murzyni!), że „podsuwa kartę podrobioną", że jest „bez oblicza", że jest „uratowanym rozbitkiem, tylko brak w nim słuchu muzycznego", że „ratuje się instynktem ślepym, jak człowiek tonący", że „spóźnił się o lat 100 w przybliżeniu", później „o lat 1000 mniejwięcej" i po raz trzeci „spóźnia się raz jeszcze o inny tysiąc lat" — razem więc lat 2100! —, że „przemilcza wstydliwie i zasłania stałą bezrymowość poezji starożytnej" etc. etc. Zwłaszcza to wstydliwe przemilczanie rzeczy tak nieznanej i tak ważnej — szczególnie jest upokarzające.

A następnie, jaka w tej polemice głębia myśli i trafność spostrzeżeń. Najdonioślejsze niewątpliwie znaczenie ma w tym sporze o asonanse wyjaśnienie pana P. zagadki „szczerych ptaków". Oto dosłowny cytat: „Szczere ptaki to są te, co latają, a nieszczere to kury i gęsi domowe, a także strusie i tym podobne bezlotne, chociaż skrzydłami machające stworzenia". Poprostu, a dokładnie i poetycznie niemal...

Pomijając inne, tak cenne odkrycia, lapidarnie sformułowane, jak np. „stałego rytmu może wymagać tylko idjota", lub, że „poezja nie może posiadać harmonji w znaczeniu muzycznem" i t. p., — należy spytać, cóż ma począć wobec powyższego obrońca asonansów? Otóż chyba zgodzić się na to, że asonanse to „k a l e c t w o w nowoczesnej poezji", a zarazem również na to, że asonanse można popoprawiać i poprzerabiać na rymy pełne (projekt autentyczny!). W ten prosty sposób przeciwnik odzyska: dobre imię, oblicze, etykę „białego człowieka", no i oczywiście, co nie do pogardzenia, spokój do grobowej deski.

PIOTR GRZEGORCZYK

N A M A R G I N E S I E

Dotąd toczy się w prasie dyskusja o tem, co miał na myśli poseł Byrka, wymawiając posłom brak przyzwoitości. Opozycja jest nieprzyzwoitością?

A my tutaj znowu przypomnimy czytelnikom przypowieść Prusa o filozofie i prostaku. Prostactwem bowiem, i to nieprzyzwoitem jest skarżyć się, skoro się ma filozofów, którzy już rzecz wyjaśnili.

*

W związku z pochwałą czasów saskich (z punktu widzenia „ideologji państwowej"), zawartą w zeszłotygodniowym fejletonie „Na widowni", zwracają nam uwagę, iż niewłaściwe jest (z punktu widzenia dziś obowiązującej terminologji) rozpisywanie się o szkodliwem jakoby „zrywaniu sejmów" w tamtej epoce. Czyż nie lepiej użyć tu wyrażenia — „odraczanie"? Poprostu, w dobie saskiej „odraczano" sejm (czasem po jednodniowej sesji) na dwa lata, aby później, znów na dwa lata, odroczyć następny.

Był to istotnie znakomity sposób ukrócenia „sejmowładztwa", na korzyść „trwałych rządów" Fleminga czy Brühla...

*

„Najbardziej rasowy poeta polski", p. Juljan Tuwim, zamieścił w sobotnim numerze „Wiadomości Literackich" wiersz p. t. „Mróz".

„W ostry mróz chłopak wiózł
Z lasu chrust na wozie etc."

W trzeciej strofce czytamy:

„Szkapa: brr, chłop jej prrr, —
A p o d w o z i e zgrzyta".

Czy pan Tuwim chciał powiedzieć, że wóz chłopski był przerobiony ze starego Forda?

NOWA KSIĄŻKA

Zygmunta Wasilewskiego

„N O R W I D"

S t r o n 247. C e n a zł. 5.— (z przes.).

Do nabycia w Admin. „Myśli Narodowej":

W a r s z a w a, Al. J e r o z o l i m s k i e 17, m. 5.

GŁOSY KRYTYKI O „NORWIDZIE"

W. Charkiewicz w „Słowie" (Wilno) 8.XII.1934:

Metodzie mdłych zachwytów przeciwstawił Wasilewski metodę historyczno-psychologiczną. Książka Wasilewskiego niezawodnie spotka się z surową krytyką zawodowych norwidologów, to jednak nie zmniejsza jej znaczenia. Praca Wasilewskiego odegra dodatnio swoją rolę.

T. Sinko w „Il. Kur. Codz." (Kraków) nr. 341 z r. 1934:

...Rezultaty studjów autora trzeba uznać za postawienie sprawy Norwida na właściwym gruncie, a wiele interpretacyj poszczególnych utworów, wiele domysłów za cenne zdobycze norwidologji. I nie może być inaczej, gdy o twórczości „zagadkowego" poety pisze nie świeży absolwent seminarjum polonistycznego, ale „stary lew", który się borykał już z największemi postaciami naszej literatury i rozwiązywał zagadki — największych.

P. Grzegorczyk w „Gaz. Warsz." z 24.XII.1934:

W polskiej krytyce literackiej Z. Wasilewski zajmuje stanowisko wyjątkowe. Góruje przedewszystkiem talentem... Jest myślicielem, nie tylko krytykiem, cechą zaś myśliciela jest stwarzanie konstrukcyj i koncepcyj... Myśl jego jest w ustawicznym ruchu i prężności. Rzadko spotyka się u nas książkę o takiej dynamice intelektualnej. Wasilewski pierwszy wykrył tragedję dualizmu Norwida... Kreśli przepyszny, sugestywny obraz atmosfery literackiej Warszawy lat 1840, obraz zdumiewający wnikliwością psychologiczną, jakiego dotychczas nie mieliśmy...

A. Czartkowski w „Kurjerze Warsz." z 2.I.1935:

...Wielką przysługę wyświadczy Norwidowi świeżo wydana monografja Z. Wasilewskiego, którą śmiał nazwać można jako naprawdę pierwszą, rzucającą n Norwida i jego dzieło jasny snop światła. Jest t książka jedną z najciekawszych i najoryginalniejszyc h jakie u nas w ostatnich czasach się ukazały. Napisana pięknym językiem, z wielkim rozmachem i polotem artystycznym, zasługuje na to, by ją przeczytał każdy, kogo istotnie zajmuje nietylko tak modny obecnie poeta, jak Norwid, ale wogóle kogo zajmuje stan literatury krytycznej w Polsce.

I. Chrzanowski w „Kur. Poznańskim" n-ry 31 i 33 z r. 1935

Zasługą największą Wasilewskiego jest świetna charakterystyka postaci N. i jego twórczości, oraz niemniej znakomite wyjaśnienie głównych czynników, pod których wpływem potoczyło się swoiste, tak jedyne w swoim rodzaju życie Norwida i rozwijała się jego twórczość. Nikt przed Wasilewskim nie scharaktery zował tak wnikliwie i tak plastycznie jego rozdwojenia duchowego i tragizmu człowieka, zarówno jak poety-

Książka ta stanowi epokę w badaniach nad Nor dem, co więcej — w całej polskiej krytyce literackie niema drugiej tak świetnej syntezy.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM